

Randall Garrett

Statek, który nazywał się McGuire

(A Spaceship Named McGuire)

Analog Science Fact -> Fiction, July 1961
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the novelette "A Spaceship Named McGuire" by Randall Garrett, published by Project Gutenberg, January 7, 2008 [EBook #24198].

According to the included copyright notice:

" This etext was produced from Analog, July 1961.

Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Nie. Nikt nigdy wcześniej celowo nie nazwał statku kosmicznego w taki sposób. Stateczne i chłodne umysły, które kierują przedsiębiorstwami projektującymi i budującymi statki kosmiczne, rzadko pozwalają sobie na tego rodzaju popisy fantazji. Jedynym przykładem, jaki przychodzi mi do głowy, jest ten nieznaną bohater z ostatniego stulecia, mający na tyle bujną wyobraźnię, aby nazwać pierwszą łódź podwodną o napędzie atomowym, *Nautilus*. Takie umysły są rzadkością. Większość ludzi utożsamia godność z nudą.

Ten statek akurat miał napęd magnetograwitacyjny, automatycznie lokujący go w klasie MG. Przytrafiło się również, że był to pierwszy udany model wyposażony w zrobotyzowany mózg Yale, a więc otrzymał symbol MG-YR-7 – pierwszych sześć miało w sobie więcej byków, niż hiszpańskie areny.

W efekcie, ktoś w Yale – kolejny nieznaną bohater – nazwał statek McGuire; nie była to nazwa oficjalna, ale przyjęła się.

Następnym krokiem było znalezienie kogoś, kto przetestuje McGuire'a. Potrzebny był do tego odpowiedni człowiek – szybko myślący, twardy, pomysłowy, i można by tu jeszcze wymienić cały szereg kolejnych przymiotników. Na pilota testowego swego ukochanego dziecka, chcieli dostać perfekcyjnego supermana – nawet jeśli wiedzieli, że w końcu będą musieli wybrać tego, z drugiego miejsca.

Wybranie właściwego człowieka zabrało Fundacji Kosmicznej Yale dużo czasu.

Nie, ja nie jestem tym gościem, który przetestował McGuire'a.

Ja jestem tym, który go ukradł.

Shalimar Ravenhurst, nie należy do gości, których bardzo wielu ludzi byłoby w stanie polubić, i pod tym względem, jestem do tych bardzo wielu ludzi podobny, jeżeli nawet nie gorszy. Przede wszystkim, człowiek nie ma prawa chodzić po świecie, obnosząc się z imieniem takim jak „Shalimar”; przy nim imiona w rodzaju „Beverly”, „Leslie”, czy „Evelyn” brzmią niemal gruboskórnie. Jeśli chcielibyście jeszcze dziesięć innych powodów, nie ma problemu.

Shalimar Ravenhurst był właścicielem małej planetoidy, w Pasie, kawał niklowego żelaza o wielkości niewielkiej góry, z gwieprzyciąganiem mierzonym w ułamkach centymetra na sekundę kwadrat. Jeżeli jesteście podatni na chorobę kosmiczną, tego rodzaju siła ciężkości pomoże wam mniej więcej tyle, ile aspiryna pomogłaby Marii Antoninie. Ma się poczucie podłogi pod nogami, ale człowieka przesładowuje niejasne wrażenie, że to nie potrwa długo. Ciągle, jakby próbowała spod ciebie odlecieć.

Opuściłem swojego flittera na lądowisko i rozejrzałem się dookoła, nie mając specjalnej nadziei, że uda mi się zobaczyć coś ciekawego. I nie udało. Lądowisko było mniej więcej rozmiarów boiska futbolowego; jasny, błyszczący kawał z grubsza wypolerowanego metalu, wycięty i płasko

wyrównany w żelazie niklowym samej planetoidy. Służył nie tylko jako lądowisko, ale również jako zwierciadlana latarnia kosmiczna, lustro wysyłające w kosmos odbłyски światła słonecznego, w miarę jak planetoida powoli obracała się wokół własnej osi. Wycelowałem więc w to lustro i teraz na nim usiadłem.

W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Koło jednego z końców prostokątnego lądowiska, znajdowała się pojedyncza kopuła, półkula o średnicy około dwudziestu stóp i wysokości równej połowie tego. I to wszystko.

Westchnąłem i włączyłem kotwicę magnetyczną, która złapała uchwyt na metalicznym podłożu pode mną i pewnie przytwierdziła flittera do powierzchni planetoidy. Potem wyłączyłem silnik, wcisnąłem do gniazda telefon i uderzyłem palcem w klawisz „Miejscowy”.

Automatyczny wybieracz przejrzał okolicę w poszukiwaniu sygnału powiadamiacza Ravenhursta i wyemitował piknięcie na tym samym kanale.

Czekałem, aż w końcu urządzenie piknęło dwukrotnie. Rozległo się kliknięcie i odezwał się jakiś głos:

— Raven Rest. Tak?

To nie był Ravenhurst.

Odpowiedziałem:

— Nazywam się Daniel Oak. Chciałbym rozmawiać z panem Ravenhurstem.

— Pan Oak? Spodziewaliśmy się pana dopiero jutro.

— Świetnie. Jestem wcześniej. Proszę połączyć mnie z panem Ravenhurstem.

— Ale pan Ravenhurst nie spodziewał się pana...

Zupełnie niespodziewanie poczułem ukłucie irytacji.

— Jeżeli wasze przyrządy nie działają na przechodzone baterie do latarek, powinniście od pół godziny wiedzieć że się zbliżam. Dostosowałem się do zaleceń pana Ravenhursta, żeby nie używać radia, ale do tej chwili powinien już chyba otrzymać informację, że tutaj jestem. Prosił mnie o przybycie tak szybko, jak to możliwe, i do tego zalecenia również się dostosowałem. Zawsze stosuję się do zaleceń, jeśli odpowiednio dużo mi się zapłaci.

— Teraz więc, jestem tutaj; proszę przekazać panu Ravenhurstowi, że chcę z nim rozmawiać, albo po prostu wynoszę się stąd i wracam na Erosa. I proszę mu również przekazać ogromne podziękowania za miłą sumkę, którą mi zapłacił, a która jemu nic nie przyniesie, ale mnie da niezły zysk za moje kłopoty.

— Chwileczkę, poproszę — powiedział głos.

Zajęło to może z półtorej minuty, czyli jakieś dziewięć miliardów chwil za długo, przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

Potem odezwał się inny głos:

— Oak? Spodziewałem się pana dopiero jutro.

— Tak też słyszałem. Myślałem, że zależy panu na pośpiechu, ale jeśli nie, to może mi pan po prostu zapewnić wino, kobiety i inne niezbędne rzeczy, do jutra. To, oczywiście, absolutnie nie wchodzi w moją opłatę,

ponieważ to pan marnuje mój czas, a ja ewidentnie nie marnuję pańskiego.

Nie jestem pewien czy odgłos, który wydał, było to chrząknięcie, czy stłumiony chichot, i nie za bardzo mnie to obchodziło.

— Przepraszam, panie Oak; naprawdę nie spodziewałem się pana tak szybko, ale chciałbym... chciałbym, żeby pan zaczął działać natychmiast. Proszę zostawić flittera tam gdzie jest; wyślę kogoś, żeby się nim zajął. Niech pan przejdzie do kopuły i wejdzie do środka. — I rozłączył się.

Warknąłem pod nosem coś, czego lepiej że nie słyszał, i rozłączyłem się ze swojej strony. Szkoda, że nie miałem na telefonie jednostki wizyjnej; chętnie zobaczyłbym jego twarz. Aczkolwiek wiedziałem, że z jego miny mógłbym nie dowiedzieć się wiele więcej, niż dowiedziałem się z tonu jego głosu.

Wysiadłem z flittera i pomaszerowałem w kierunku kopuły, moje magnetyczne podeszwy wydawały wewnątrz skafandra odgłosy kliknięć, chwytając i puszczając metalową płaszczyznę pod stopami. Poza lądowiskiem, otaczał mnie poznaczony grudkami skał horyzont i czarne niebo, pełne jasnych, zimnych gwiazd.

Kiedy dotarłem do wejścia kopuły, paliło się zielone światło, tak więc otworzyłem właz i wszedłem do środka, zamykając go za sobą. Włączyłem pompę, która zaczęła wypełniać pomieszczenie powietrzem. Kiedy ciśnienie się podniosło, otworzyły się drzwi zapadkowe w podłodze kopuły i wystawił z nich głowę krótko obcięty, jasnowłosy młody człowiek.

— Pan Oak?

Bawiłem się przez chwilę myślą, udzielenia mu sarkastycznej odpowiedzi. A kimże innym mógłbym być? Ilu innych ludzi biegało po powierzchni Raven Rest?

Zamiast tego, odparłem:

— Zgadza się.

Mój głos musiał być nieco przytłumiony przez kulę dla rybek, jaką miałem na głowie.

— Proszę na dół, panie Oak. Tu będzie mógł pan zdjąć swój strój próżniowy.

Pomyślałem, że „dół” to całkiem ambitne określenie dla takiego kamyka o niskiej grawitacji, ale zszedłem za nim po drabince. Drabinka była niezbędna do szybkiego przemieszczania się. Gdybym po prostu spróbował zeskoczyć z jednego poziomu na drugi, to wylądował bym na święty nigdy.

Drzwi zamknęły się mi nad głową i usłyszałem, że zaczynają pracować pompy. Światło ostrzegawcze zmieniło kolor na czerwony.

Zdjąłem swój skafander, zawiesiłem go w poręcznej szafce, pozostając tylko w bieliźnie, obcisłym jednoczęściowym kostiumie.

— Czy nie urażę nikogo, jeśli będę w tym chodził? — spytałem młodego, jasnowłosego człowieka. — A może powinienem pożyczyć szorty i kurtkę?

W większości miejsc w Pasie, taka jednoczęściowa bielizna uważana była za normalne ubranie; człowiek nigdy nie wie, kiedy będzie musiał wskoczyć w swój skafander próżniowy – i to szybko. Ale było parę pretensjonalnych i snobistycznych miejsc na Erosie i Ceres, oraz w paru innych nieco bardziej zaludnionych punktach, gdzie od kobiet czy mężczyzn, wymagano by przed wejściem tam założyli szorty i kurtkę. W starym dobrym New York City, mężczyzna i kobieta zostali nawet zamknięci pod kluczem, za „nieprzyzwoite obnażanie się”. Sędzia odrzucił skargę, ale zapowiedział im, że mają szczęście, iż nie zostali złapani w Bostonie. Zdaje się, że bigotom gnije wątroba z zawiści na widok jednoczęściowej bielizny i natychmiast stają w płomieniach świętego oburzenia.

Tutaj jednak ewidentnie nie było żadnych świętoszków.

— Absolutnie w porządku, panie Oak — grzecznie odparł jasnowłosy młodzian. Potem zakasłał uprzejmie i oznajmił: — Ale, obawiam się, że będę musiał pana prosić o pozostawienie broni.

Zerknąłem na kaburę pod pachą, podszedłem z powrotem do szafki i wyjąłem mój skafander próżniowy.

— Hej! — oznajmił jasnowłosy młodzieniec. — Dokąd pan idzie?

— Wracam do swojego flittera — uprzejmie wyjaśniłem. — Zaczynam być zmęczony tymi całymi podchodami. Jestem profesjonalistą, a nie wynajętym popychadłem. Gdyby wezwał pan doktora, to nie kazałby mu pan przecież zostawić tej jego małej czarnej walizeczki. Gdyby wezwał pan prawnika, nie kazałby pan mu zostawić jego aktówki. A jeśli jednak by pan to zrobił, to posłaliby pana do diabła. Poproszono mnie, abym przybył najszybciej jak to możliwe, a kiedy to zrobiłem, każecie mi czekać do jutra. Teraz chce pan, żebym zostawił swoją broń. Do diabła z panem.

— To tylko środek bezpieczeństwa — stwierdził ze zmartwieniem jasnowłosy młodzieniec.

— Chyba nie myśli pan, że mam zamiar zastrzelić Ravenhursta? Niech pan nie będzie idiotą.

Zacząłem zakładać na siebie skafander.

— Chwileczkę, panie Oak — oznajmił głos z ukrytego głośnika. Był to Ravenhurst i rzeczywiście brzmiał przepraszająco. — Proszę nie winić pana Feller; to moje stałe polecenie i zapomniałem powiadomić pana Feller, by w pańskim przypadku zrobił wyjątek. To mój błąd.

— Wiem — odparłem. — I nie winię pana Feller. Nawet nie do niego mówiłem. Zwracałem się do pana.

— Wierzę panu. Panie Feller, nasz gość zadał sobie wiele kłopotu, by mieć skafander z miejscem pod pachą na tę broń; nie widzę powodu, aby go jej pozbawiać. — Chwila przerwy. — I jeszcze raz, panie Oak, bardzo przepraszam. Naprawdę chciałbym, żeby podjął się pan tej pracy.

Już chwilę wcześniej zacząłem z powrotem zdejmować skafander.

— Ale — gładko kontynuował Ravenhurst, — jeśli nie uda mi się dorównać pańskiemu standardom uprzejmości, mam nadzieję, że pan mi z góry wybaczy. Czasami jestem odrobinę zapominalski, a nie podoba mi się, kiedy człowiek grozi porzuceniem pracy u mnie, dwukrotnie na przestrzeni piętnastu minut.

— Jeszcze nie jestem pańskim pracownikiem, panie Ravenhurst — zauważyłem. — Jeśli przyjmę tę pracę, nie będę groził ponownie odejściem z niej, chyba że naprawdę się na to zdecyduję, a do tego potrzeba czegoś znacznie więcej, niż zwykłej nieuprzejmości. Z drugiej strony, pański rodzaj nieuprzejmości jest odrobinę powyżej zwykłej.

— Dziękuję panu przynajmniej za to — powiedział Ravenhurst. — Proszę pokazać panu drogę do mojego biura, panie Feller.

Jasnowłosy młodzieniec bez słowa skinął głową i wyprowadził mnie z pomieszczenia.

Chodzenie w warunkach niskiego-gie, niepodobne jest do niczego innego we wszechświecie. Nie chodzi mi tu o poruszanie się po Lunie; w porównaniu z tym o czym mówię, jedna szósta gie, to praktycznie domowe warunki. A zero gie jest tak pozbawione orientacji, że sprawia wrażenie nieskończonego spadania, dopóki człowiek się do tego nie przyzwyczai. Ale planetoida, to zupełnie inna sprawa.

Pamiętacie ten sen — niemal każdy go miał — kiedy nagle potrafiliście latać? To dokładnie mówiąc, nie jest latanie; to raczej coś w rodzaju pływania w powietrzu. Tak jakby było się pod wodą, poza tym że ośrodek wokół was nie jest taki gęsty i lepki, no i możecie oddychać. Pamiętacie? No cóż, takie właśnie uczucie otrzymuje się na planetoidzie o niskim-gie.

Ręce nie zwisają wam po bokach, jak na Ziemi czy Lunie, ponieważ napięcie mięśniowe utrzymuje je rozpostarte, tak samo jak w zero-gie, ale nadal jednak ma się zdecydowane poczucie góry i dołu. Jeżeli odepchniecie się od podłogi, unosicie się długim, powolnym, pełnym wdzięku łukiem, jeżeli oczywiście, nie odepchnęliście się zbyt mocno. Podeszwy magnetyczne są praktycznie koniecznością.

Poszedłem za jasnowłosym panem Fellerem, pokonując rząd długich korytarzy, wymalowanych na bladezielony kolor, które spowodowały, że czułem się jak pod wodą. Co jakiś czas, w ścianach korytarzy rozmieszczone były drzwi. Od czasu do czasu, niektóre z nich otwierały się i wyglądający na bardzo zajętych ludzie, pokonywali korytarz, otwierali inne drzwi i znikali w nich. Spoza drzwi dolatywał pomruk jakichś odległych odgłosów.

Wreszcie zakończyliśmy nasz marsz przed czymś, co wyglądało jak jedyne drewniane drzwi w tym miejscu. Kiedy ktoś wycina sobie biuro i rezydencję w niklowo-żelazowej planetoidzie, importowanie drewna z Ziemi, to kwestia czystego luksusu.

Na tych mahoniowo-czerwonych drzwiach nie było żadnej tabliczki z nazwiskiem. Nie była potrzebna.

Feller dotknął obwiedzionego cienką linią kółka na drzwiach.

— Nie zapuka pan? — spytałem z kpiącą powagą.

— Nie — odparł Feller, z trudem zachowując powagę na twarzy. — Muszę zadzwonić. Pukanie nic by tu nie dało. To tylko drewniana okleina na stalowej płycie o grubości trzech cali.

Drzwi otworzyły się i wszedłem do środka.

Nigdy jeszcze nie widziałem takiego pokoju. Wszystkie meble były zrobione z takiego samego mahoniu – ogromne biurko, dziewiętnastowieczny barok, z rzeźbionymi, skręconymi spiralnie nogami; dwa krzesła, wyrzeźbione tak samo, z wyściełanymi siedziskami z bordowej skóry; i krzesło stojące za biurkiem, które można było porównać do biskupiego tronu, z jeszcze bardziej fantastycznymi zdobieniami. Po jednej stronie stała długa sofa, obita jaśniejszym bordowym kolorem. Dywan, od ściany do ściany, miał barwę głębokiego burgunda, i był tak puszysty, że można byłoby go kosić. Na ścianach wisiały mahoniowe panele razem z parą ogromnych gobelinów, w kolorach bordowych, purpurowych i czerwonych. Biblioteczka zajmująca jedną ze ścian, wypełniona była książkami, z których każda oprawiona została w bordową skórę.

Odniosłem wrażenie, jakbym znalazł się w beczce starego clareta. Albo starej krwi.

Siedzący za biurkiem człowiek wyglądał jakby stworzono go jako jaśniejszą element dekoracyjny, w analogicznym zestawie kolorystycznym. Garnitur miał liliowo-różowy, z purpurowymi obszyciami, a jego szeroka, kwadratowa, obwisła twarz była kolorowa. Na nosie i policzkach, cieniutkie linie purpurowych konturów, otaczały ciemniejsze obszary na jego skórze. Włosy miał średnio brązowe, ale zostały obcięte tak krótko, że przeświecała między nimi lekko skóra, i pośród tego całego przytłaczającego tła, nawet jego włosy wyglądały na nieco fioletowe.

— Proszę do środka, panie Oak — powiedział Shalimar Ravenhurst.

Ruszyłem w jego stronę po burgundowym dywanie, podczas gdy jasnowłosy młodzieniec dyskretnie zamknął za mną drzwi, pozostawiając nas samych. Nie winiłem go za to. Byłem ubrany w żółtą jednoczęściową bieliznę i z niechęcią myślałem, jak musiałem wyglądać w tym pokoju.

Usiadłem na jednym z krzeseł, twarzą do biurka, po krótkim uściśnięciu dobrze zadbanej, lekko natłuszczonej ręki.

Otworzył kryształową karafkę, która stała na końcu jego biurka.

— Odrobinę madery, panie Oak? A może woli pan coś innego? Zazwyczaj nie pijam alkoholu tak późno w nocy.

Stłumiłem impuls, aby poprosić o kielicha czyściochy.

— Madera będzie odpowiednia, panie Ravenhurst.

Napełnił i wręczył mi kielich na wysokiej nóżce. Wypełniony był niemal po brzegi. Dołączyłem do niego, w pełnym zadowolenia łyczku, a potem czekałem, aż w końcu zdecyduje się mówić.

Nachylił się ponad biurkiem, taksując mnie małymi, ciemnymi oczkami. Jego twarz miała wyraz, jakby próbował jednocześnie wyglądać szyderczo i chytrze, ale nie udało mu się wyjść poza etap uśmieszku.

— Panie Oak, dokładnie pana sprawdziłem – a przynajmniej na tyle dokładnie, na ile było to możliwe. Moi adwokaci twierdzą, że pańska reputacja jest najwyższej klasy; to znaczy, że załatwia pan sprawy do końca i rzadko rozczarowuje swoich klientów.

Przerwał, jakby oczekując jakiegoś komentarza. Nie wygłosiłem go.

Po chwili, zaczął mówić dalej.

— Mam nadzieję, że jest ona zgodna z prawdą, panie Oak, ponieważ będę musiał panu zaufać. — Odchylił się do tyłu na swym krześle, z oczyma ciągle utkwionymi we mnie. — Ludzie rzadko mnie lubią, panie Oak. Nie jestem sympatycznym człowiekiem. Nie udaję, kogoś takiego. To nie mój styl.

Powiedział to tak, jakby mówił to już wiele razy, wierzył w to i żałował, że nie jest inaczej.

— Nie proszę, żeby pan mnie polubił — mówił dalej. — Proszę pana tylko, aby pozostał pan lojalny wobec moich interesów, przez okres trwania tego zatrudnienia. — Kolejna chwila przerwy. — Zostałem zapewniony przez pewnych ludzi, że tak się stanie. Chciałbym jednak usłyszeć również i pańskie zapewnienie.

— Panie Ravenhurst, jeśli przyjmę pańską propozycję — powiedziałem jasno — to będę pracował dla pana. Można mnie kupić, ale kiedy już zostanę kupiony, to pozostaję kupiony. A teraz, na czym polega pański kłopot?

Zmarszczył czoło.

— No cóż, teraz, ustalmy sobie jedną sprawę raz na zawsze. Czy pan pracuje dla mnie, czy nie?

— Nie potrafię tego powiedzieć, dopóki się nie dowiem na czym polega ta praca.

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się.

— Proszę posłuchać, to bardzo poufna praca. Co się stanie, jeśli powiem to panu, a pan zdecyduje się odrzucić moją propozycję pracy?

Westchnąłem.

— Panie Ravenhurst, obecnie płaci mi pan za to, żebym pana wysłuchał. Nawet jeśli nie przyjmę pańskiej pracy, obciążę pana rachunkiem za swoje wydatki i czas potrzebny na pokonanie tej całej drogi w to miejsce. A więc, jeśli chodzi o wysłuchanie pana, w tej chwili dla pana pracuję. Jeśli praca mi się nie spodoba, natychmiast zapomnę wszystko, co mi pan powie. W porządku?

Nie spodobało mu się to, ale nie miał wyboru.

— W porządku — potwierdził. Szybko opróżnił do reszty swój kieliszek madery i nalał sobie ponownie. Mój własny kieliszek był ciągle prawie pełny.

— Panie Oak — zaczął, — mam dwa problemy. Jeden z nich jest drobny, drugi poważny. Starłem się rozdmuchać ten pomniejszy, o wiele bardziej niż wynikałoby to z jego rozmiarów, tak aby ludzie tutaj, na Raven's Rest sądzą, że jest to jedyny problem. Myślą, że sprowadziłem pana tutaj, wyłącznie z tamtego powodu. Ale to tylko tuszowanie rzeczywistej sprawy.

— Która polega, na? — podpowiedziałem mu.

Ponownie nachylił się do przodu. Najwidoczniej było to jedyne ćwiczenie fizyczne, jakie w ogóle stosował.

— Wie pan zapewne, że Viking Spacecraft jest jedną z korporacji, pozostających pod zarządem Ravenhurst Holdings?

Skinąłem głową. Viking Spacecraft zbudowała część największych i najlepszych pojazdów w Układzie. Zajmowała większość Ceres – niemal

całą, prawdę mówiąc, poza Rezydencją Rządową. Przeniosła się na asteroidy już dawno temu, po tym jak wielkie koncerny górnicze, zaczęły rozcinać mniejsze asteroidy na kawałki, w poszukiwaniu metali. Surowce są tutaj prostsze do zdobycia, niż na Ziemi, i znacznie łatwiej jest zbudować pojazd kosmiczny w warunkach nieskiego-gie, niż przy sile ciężenia Ziemi, Księżyca, czy Marsa.

— Czy słyszał pan coś może o eksperymentalnych zrobotyzowanych statkach kosmicznych, budowanych na Erosie? — spytał Ravenhurst.

— Niewiele — przyznałem. — Coś mi się obito o uszy, ale nie znam żadnych szczegółów. — Nie było to tak do końca prawdą, ale już dawno przekonałem się, że nie opłaca się mówić każdemu o wszystkim co się wie.

— Szczegóły techniczne nie są niezbędne — powiedział Ravenhurst. — Poza tym, ja sam również ich nie znam. W każdym razie istota sprawy polega na tym, że Viking próbuje zbudować statek, który łatwo będzie wykorzystać jako flittera – jednoosobowy statek towarowy. Być może nawet kompletnie zautomatyzowany, jeśli chodzi o przewóz ładunku i wykorzystujący tylko jednego członka załogi przy lotach pasażerskich. Proszę sobie wyobrazić, jak to by obniżyło koszty transportu w Układzie Słonecznym! Proszę sobie wyobrazić, jak to by otworzyło możliwości szybkiego transferu towarów, gdybyśmy mieli automatyczne statki, mogące przez cały czas zwiększać prędkość z przyśpieszeniem dwudziestu lub dwudziestu pięciu gie, aż do chwili rozpoczęcia hamowania!

Musiałem to przyznać Ravenhurstowi: W jego oczach płonęło światło, wskazujące na prawdziwą ekscytację perspektywami, które przedstawiał, i nie było to spowodowane wyłącznie pieniędzmi, jakie mógł dzięki temu zarobić.

— Brzmi nieźle — odparłem. — Na czym więc polega problem?

Jego twarz pociemniała, o pół odcienia.

— Policja kompanii podejrzewa sabotaż, panie Oak.

— W jaki sposób? Jakiego rodzaju?

— Nie wiedzą. Viking zbudował sześć statków tego typu – klasy McGuire, jak nazwali ją inżynierowie. Oczywiście, każdy z nich był nieco odmienny od poprzedzających go, w miarę jak usuwano błędy w ich funkcjonowaniu. Ale każdy z nich okazał się porażką. Żaden nie zdołał przejść testów działania w kosmosie.

— Nie chodzi tutaj o awarię silników, czy zwykłych mechanizmów statku, jak przypuszczam?

Ravenhurst parsknął.

— Oczywiście, że nie. Chodzi o mózg. Statki stały się, jak można by to określić, *non compos mentis*. Prawdę mówiąc, kiedy ostatni z nich po prostu próbował zaryć nosem w powierzchnię Erosa, odwracając kierunek działania silnika, jeden z robotyków stwierdził, że rada przysięgłych wydałaby wyrok „samobójstwo z powodu pomieszania zmysłów”, gdyby taka procedura obowiązywała również w przypadku statków kosmicznych.

— To nie wydaje się zbyt sensowne — powiedziałem.

— Nie. Nie wydaje się. To jest bez sensu. Mózgi tych statków nie powinny zachowywać się w taki sposób. Zrobotyzowane mózgi nie

popadają w obłąd, chyba że wyda się im instrukcje, które to spowodują – skonfliktowane rozkazy, błędne informacje, tego rodzaju rzeczy. Albo jeżeli mają faktyczne defekty fizyczne w samym mózgu.

— Ale przecież, to mózgi dają sobie radę z zadaniem pilotowania statku? — spytałem. — Chodzi mi o to, że mają do tego dostateczne pojemności?

— Z pewnością. To są urządzenia tego samego typu, co stosowane do sterowania ruchem samochodowym na Sieci Autostradowej Wschodniego Wybrzeża Ameryki Północnej. Skoro mogą one sterować ruchem milionów samochodów, nie ma żadnego powodu aby nie mogły sterować statkiem kosmicznym.

— Nie — przyznałem. — Chyba nie. — Zastanowiłem się nad tym przez chwilę, a potem powiedziałem: — Ale co pańscy robotycy mówią o powodach tego rodzaju usterki?

— I w tym miejscu właśnie pojawia się problem, panie Oak. — Zmarszczył swe wydatne wargi, a oczy mu się zwężyły. — Zdania są podzielone. Niektórzy z moich ludzi, twierdzą, że to jest prosty przypadek awarii technicznej, że błędy nie zostały do końca usunięte z tego nowego rozwiązania, ale kiedy tylko to się uda, dalej wszystko pójdzie już jak po maśle. Inni mówią, że takie usterki mogą zostać spowodowane tylko przez umyślne działania. Jeszcze inni twierdzą, że nie ma dostatecznych przesłanek dowodzących iż którakolwiek z tych dwu teorii jest poprawna.

— Ale pan uważa, że to sabotaż?

— Dokładnie — odparł Ravenhurst. — I wiem kto to robi, oraz dlaczego.

Nie próbowałem nawet ukryć lekkiego zaskoczenia, które wywołały we mnie te słowa.

— Zna pan człowieka, który jest za to odpowiedzialny?

Pokręcił głową tak gwałtownie, że aż szczęki zaczęły latać mu na boki.

— Nie to chciałem powiedzieć. To nie jest jeden człowiek; to grupa.

— Może mógłby pan wyjawić mi nieco więcej szczegółów, panie Ravenhurst.

Skinął głową, tym razem jego szczęki kłapnęły zamiast latać na boki.

— Jest w Vikingu pewna grupa ludzi, która próbuje mnie wyślizgać z tego biznesu. Chcieliby, aby Viking był zarządzany przez Thurston Enterprises; ewidentnie spodziewają się, że mogliby dostać dużo więcej od nich, niż ode mnie. Jeśli projekt McGuire upadnie, będą mieli niezłe szanse na to, aby przekonać udziałowców, że błąd leży po stronie Ravenhursta. Nadaża pan?

— Jak dotąd — odparłem. — A więc, uważa pan, że stoi za tym Thurston?

— Nie wiem — powiedział powoli. — Może tak, ale równie dobrze i nie. Jeśli to on, to jest to idealnie uprawniona taktyka biznesowa. Ma wszelkie prawa, aby próbować zdobyć dla siebie więcej pieniędzy, jeśli ma na to ochotę. Ja też parę razy wykopałem pod nim dołek. Nie wydaje mi się jednak, żeby był w to zbyt głęboko zaangażowany, jeśli w ogóle jest. To pachnie osobistym atakiem na mnie, i nie wydaje mi się, żeby był to rodzaj gry w stylu Thurstona. Widzi pan, w obecnej chwili sprawy stoją

niewielko delikatnie. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale wie pan przecież jak wygląda bieżąca sytuacja polityczna.

— I tak to wygląda, przynajmniej jeśli chodzi o Vikinga: Jeśli stracę kontrakt menedżerski na niego, kolejne dwa z moich innych kontraktów również wypadną z gry – szczególnie jeśli się okaże, że zarządzałem w sposób niedbały, albo niepotrzebnie wydałem znaczne ilości pieniędzy. Te dwie inne firmy, prawdę mówiąc w obecnej chwili są również odrobinę rozchwiane; zarządzam nimi zaledwie nieco ponad rok w jednym przypadku i dwa lata w drugim. Ich aktywa wzrosły, od czasu kiedy je przejąłem, ale pomimo wszystko i tak mnie wyrzucają, jeśli pomyślą, że postępowałem lekkomyślnie.

— Jak mogłoby to się stać? — spytałem. — Przecież ma pan kontrakt, nieprawdaż?

— Jasne. Nie mogliby go zerwać. Ale pewnie poprosiliby rządowych inspektorów, żeby wkroczyli i sprawdzili każdy krok moich działań menedżerskich. A przecież, zarówno pan, ja, jak i wszyscy inni, wiemy, że czasami trzeba pójść na skróty, żeby biznes wypalił. Jeśli wkroczy rząd, będziemy musieli tego zaprzestać – co oznacza, że wykazalibyśmy na tyle duże straty, żeby nas to położyło. Będziemy musieli odsprzedać kontrakt za grosze.

— Tak więc, jeśli odpadnie Viking, a potem odejdą te dwie kolejne korporacje, zaczną wyglądać na to, że Ravenhurst nie jest już dłużej w stanie troszczyć się o siebie i o swoje kompanie. Rekiny poczują krew. Kontrakty, które zbliżają się do czasu odnowienia, zaczną być rozważane, zamiast przedłużane automatycznie. Myślę, że rozumie pan, do czego mogłoby to w końcu doprowadzić.

Rozumiałem. W dzisiejszych czasach nie można wejść do biznesu w zarządzaniu, jeśli nie jest się kompetentnym i efektywnym. Trzeba znać wszystkie zasady i wszystkie sztuczki organizacji i komunikacji, a do tego człowiek musi potrafić lawirować tanecznym krokiem wokół wszelkich kłód, rzucanych pod nogi przez rządowe prawa – niektóre z nich krążyły po kodeksach prawnych tego czy innego narodu, przez dwa czy też trzy stulecia.

Czy wiecie, że istnieje prawo w amerykańskich kodeksach, które zabrania lądowania statkiem kosmicznym, w odległości mniejszej niż sto mil od miasta? Przeszło ono kiedy używano rakiet, ale nigdy nie zostało uchylone. Technicznie więc, jest niemal niemożliwe wylądowanie statkiem gdziekolwiek na terenie kontynentu północnoamerykańskiego. Port Kosmiczny Long Island, jest otwartą drwiną z prawa, gdyby chcieć popatrzeć na to z tego punktu widzenia.

Firma zarządzająca musi znać te wszystkie drobne szczegóły i wiedzieć jak je obchodzić. Musi być w stanie utrzymać zaufanie udziałowców korporacji – jeśli działa na Planie Zachodnim – lub zaufanie posiadaczy komunalnych, jeśli działa na Planie Wschodnim.

Coś takiego, mogłoby zmienić się dla Ravenhursta w kulę śniegową. Tonący statek opuszczają nie tylko szczury. Robią to wszyscy, którzy mają choćby odrobinę zdrowego rozsądku w głowie.

— Chciałbym się więc dowiedzieć, panie Oak — mówił dalej Ravenhurst, — kto stoi za tym spiskiem, niezależnie od tego, czy jest to pojedyncza osoba, czy też grupa ludzi. Chcę znać jego tożsamość i motywacje.

— Czy to wszystko? — zmierzyłem go sceptycznie wzrokiem.

— Nie. Oczywiście, że nie. Chcę, żeby pan się upewnił, że MG-YR-7 nie ulegnie sabotażowi. Chcę, żeby pan zapewnił mu ochronę przed wszystkimi możliwymi rodzajami piasku, jaki mógłby zostać wrzucony w jego tryby.

— Jest już niemal gotów do testów, tak? — spytałem.

— Jest gotów. Jak dotąd, wszystko wydaje się być w idealnym porządku. Viking już zaczął szukać pilota testowego. Statek w chwili obecnej jest nadal sprawny i chcę być pewien, że tak już zostanie.

Przekrzywiłem głowę na jedną stronę i obrzuciłem go swoim Badawczym i Podejrzliwym Spojrzeniem – Numer 9, w podręczniku.

— Nie próbował pan sprawdzać żadnego z pierwszych sześciu statków McGuire. Czekał pan, aż zostanie zbudowany ten i dopiero wtedy mnie pan wezwał. Skąd to opóźnienie, panie Ravenhurst?

Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

— Zacząłem coś podejrzewać po porażce McGuire 6. Posadziłem nad tym pułkownika Brocka.

Skinałem głową. Miałem kiedyś z nim do czynienia. Był szefem Straży Ochrony Ravenhursta.

— Brock do niczego nie doszedł — powiedziałem.

— Nie. Jego twarz jest za bardzo znana, żeby mógł osobiście poprowadzić śledztwo, a nie ma na tyle dużych zdolności aktorskich, by rozwiązać problem stosując maskę z pleksiskóry. Musiał wykorzystać podwładnych. Obawiam się, że niektórzy z nich mogli być opłacani przez... ehm... opozycję. Niczego się nie dowiedzieli.

— Innymi słowy, może pan mieć szpiegów w swej własnej organizacji, współpracujących z grupą z Vikinga. Bardzo interesujące. To oznacza, iż oni wiedzą, że pracuję dla pana, co mnie również efektywnie uziemia. Równie dobrze mógł pan zostawić przy tej robocie Brocka.

Uśmiechnął się, zadowolonym z siebie, pełnym wyższości uśmiechem, który pewni ludzie mogliby odebrać jako obraźliwy. Ja, odebrałem. Nawet pomimo tego, że wiedząc iż taki cwany kombinator jak Ravenhurst zawsze dobrze zaciera swoje ślady, podpuściłem go trochę w takim kierunku, że mógł odczuć tę odrobinę wyższości. Nic nie mogłem poradzić na to, że miałem ochotę otarć mu powieki, by przedstawił tę swoją historyjkę na przykrywkę, zamiast pozwolić mu myśleć, że wcześniej się jej w ogóle nie domyślałem.

— Moi ludzie wiedzą, panie Oak, tylko tyle, że ma pan ochraniać moją córkę, Jacqueline, i odstawić ją do Braunsville, na Lunie. Naturalnie, będzie pan musiał zabrać ją swoim flitterem na Ceres, gdzie będzie pan musiał poczekać na specjalnie wycarterowany statek, który zawiezie was oboje na Lunę. Będzie on gotów za tydzień od waszego przylotu. Ponieważ McGuire 7 ma zostać przetestowany w ciągu trzech dni, powinno to panu dać dostatecznie dużo czasu.

— A jeśli nie da?

— Zastanowimy się nad tą możliwością jeżeli i kiedy, stanie się ona prawdopodobna. Pokładam w panu ogromną wiarę.

— Dzięki. Jeszcze jedna sprawa: Dlaczego sądzi pan, że wszyscy łykną ten pomysł, że pańska córka potrzebuje prywatnego ochroniarza, który odeskortuje ją do Braunsville?

Jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy.

— Nigdy nie spotkał pan mojej córki, panie Oak. Jacqueline jest podobna do mnie, w wielu kwestiach, z których najmniejszą bynajmniej nie jest pragnienie aby sprawy układały się po jej myśli i nie dać sobie nałożyć żadnego jarzma, jak to się mówi. Przeżyłem z nią trudne chwile, proszę pana; naprawdę trudne chwile. To jest i było sterowanie wąską ścieżką między Scyllą złamania jej ducha poprzez użycie zbyt dużej ilości dyscypliny, a Charybdą pozwolenia jej na zmarnowanie sobie życia, zezwalając jej kompletne folgowanie swym słabościom. Teraz ma siedemnaście lat i nadszedł czas na wysłanie jej do szkoły, gdzie otrzyma wykształcenie odpowiednie do jej potencjału i zdolności, oraz dyscyplinę odpowiednią do jej ducha.

— Pańska praca, panie Oak, polegać będzie na upewnieniu się, że ona tam się znajdzie. Nie jest pan ochroniarzem w sensie, by musiał pan chronić ją przed otaczającymi ludźmi. Wręcz przeciwnie, to oni mogą potrzebować ochrony przed nią. Pan ma zapewnić, aby dotarła do Braunsville, zgodnie z rozkładem. Ona jest absolutnie zdolna do tego, by wbić sobie do głowy, skok w bok na wędrownkę po Ziemi, jeśli tylko spuści z niej oko.

Nadal uśmiechając się, dolał sobie wina.

— Proszę jeszcze odrobinę madery, panie Oak. To naprawdę doskonały rocznik.

Pozwoliłem, aby napełnił mi ponownie kieliszek.

— To, myślę, całkiem nieźle pokrywa obszar pańskiej faktycznej działalności. Moja córka, oczywiście, urządzi sobie wycieczkę po fabryce na Ceres, co pozwoli panu zrobić wszystko, co tylko będzie potrzebne.

Uśmiechnął się do mnie.

Nie odpowiedziałem mu uśmiechem.

— Aż do tej chwili, to wszystko brzmiało jak zupełnie sympatyczne zadanie — stwierdziłem. — Teraz jednak, go nie chcę. Nie mogę wziąć odpowiedzialności za nastoletnią dziewczynę, którą nęcą jasne światła Ziemi, w czasie kiedy prowadzę śledztwo nad przypadkiem sabotażu.

Wiedziałem, że miał drogę wyjścia; tylko go po prostu pchnąłem, by na nią wkroczył.

Tak też zrobił.

— Oczywiście, że nie. Moja córka nie ma tak pstro w głowie, jak to odmalowałem. Ona panu pomoże.

— *Pomoże mi?*

— Zgadza się. Pozornie będzie pan jej ochroniarzem. Gdyby okazało się, że zaginęła, pan oczywiście, przekopie dosłownie wszystko, żeby ją odnaleźć. — Zachichotał. — A Ceres, to całkiem spora kopalnia.

Przemyślałem to sobie. Cięgle nie wyglądało mi to zbyt dobrze, ale jeśli Jacqueline nie będzie sprawiać zbyt wielu kłopotów, mogło to się udać. A gdyby zaczęła sprawiać zbyt wiele kłopotów, zawsze mogłem załatwić, aby nieoficjalnie na chwilę wsadzono ją do pudła.

— W porządku, panie Ravenhurst — zgodziłem się, — ma pan człowieka, który zajmie się obiema sprawami.

— Obiema?

— Dowiem się kto próbuje sabotować statki McGuire, i zostanę pańską niańką do dziecka. To dwie sprawy. A pan zapłaci za obie.

— Spodziewałem się tego — oznajmił Shalimar Ravenhurst.

Piętnaście minut później, wchodziłem do pomieszczenia, w którym pozostawiłem swój skafander próżniowy. Czekala tam na mnie dziewczyna.

Była już ubrana w skafander, tak więc nie było sposobu aby się upewnić, ale wyglądała jakby miała pod spodem całkiem niezłą figurę. Jej twarz była raczej przeciętnie ładna, coś w rodzaju twarzy miłej-dziewczyny-z-sąsiedztwa. Włosy miała rudawo-brązowe, obcięte dosyć krótko przy skórze; tylko kobieta, która nie zamierza nigdy zakładać na siebie skafandra próżniowego, może sobie pozwolić na to, aby urosły jej dłuższe włosy.

— Panna Ravenhurst? — spytałem.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

— Nazywaj mnie po prostu Jack. A ja będę mówiła do ciebie Dan. O.K.?

Uśmiechnąłem się i uściśniłem jej dłoń, ponieważ nie było specjalnie wiele innego, co mógłbym zrobić. I tak, spotkałem oboje Ravenhurstów: Ojca, który nazywał się Shalimar i córkę o imieniu Jack.

No i statek kosmiczny, który nazwał się McGuire.

Wrzuciłem flitterowi pełny ciąg, aby zawieźć nas na Ceres najszybciej jak to możliwe. Nie lubię latania tymi pojazdami. Siedzi się w środku, w przejrzystym kadłubie, z dwoma kubełkowymi fotelami, przednim i tylnym, niemalże okrakiem na dyszy napędowej, i kieruje się od namiernika do namiernika, przez cały czas przez radio przekazując komunikaty z pozycją orbitalną. Takie przeskoki z jednej skały na drugą, to długie trasy, nawet w pasie asteroidów, i siedzi się przez cały czas w skafandrze, dopóki nie dotrze się do jakiegoś miejsca przesiadkowego, w którym można spędzić godzinę i odpocząć, zanim wyruszy się dalej. To jak jazda samochodem przez cały kontynent, tylko że placówki sygnałowe i znaki charakterystyczne otoczenia nieustannie zmieniają swą pozycję. Niedoświadczony człowiek łatwo może się w Pasie zgubić.

Byłem szczęśliwy, kiedy stwierdziłem, że Jack Ravenhurst wie, jak się lata flitterem, i potrafi nawigować wzrokowo, na podstawie gwiazd. To oznaczało, że ja mogłem pójść spać kiedy ona pilotowała i vice-versa. Podróż powrotna była dużo łatwiejsza i szybsza, niż w tamtą stronę.

W pewnym sensie cieszyłem się, że Ceres była w zasięgu flittera od Raven Rest. Nie lubię marnować czasu w oczekiwaniu na regularne połączenia statkami kosmicznymi, z których trzeba korzystać, kiedy twój punkt docelowy znajduje się o od ciebie o jedną czwartą drogi wokół pasa. Same skoki cross-systemowe, nie trwają aż tak długo, ale dostanie się na statek, wymaga czasu.

Córka Ravenhursta nie była zbyt rozmowna, kiedy byliśmy w drodze. Od czasu do czasu krótka pogawędka na ogólne tematy, a potem siedziała cicho, robiąc chyba w głowie jakieś obliczenia orbit. Nie obchodziło mnie to. Nie byłem w nastroju, żeby ciągnąć ją za język już teraz, no i zazwyczaj sam obliczałem orbity. Po pewnym czasie, człowiek wpada w nawyk.

Kiedy odezwał się namiernik Ceres, akurat drzemałem. Jack wyciągnęła rękę i potrząsnęła mnie za ramię.

— Hamujemy, zbliżając się ku Ceres — powiedziała. — Chcesz teraz przejąć ode mnie stery?

Jej głos w słuchawkach mojej kuli na rybki, brzmiał płasko i słysząc było w nim znużenie.

— O.K.; zajmę się lądowaniem. Czy wywołałaś już Lądowisko Ceres?

— Jeszcze nie. Pomyślałam sobie, że lepiej będzie jeżeli ty to zrobisz, w końcu to twój flitter.

Powiedziałem O.K. i wywołałem Ceres. Podali mi orbitę lotu, i podażyłem nią w stronę Lądowiska Ceres.

Było dużo większe, niż ten znaczek pocztowy na Raven's Rest, nieco lepiej oświetlone i znacznie bardziej zajęte, ale zasadniczo opierało się na tej samej idei – szeroki, rozległy, gładki teren, wycięty w niklowo-żelaznej skale powierzchniowej, przy pomocy skupionych promieni słonecznych. Jeden koniec zarezerwowany był dla flitterów; trzy wielkie statki kosmiczne osiadły na drugim końcu, wyglądając bardzo noblesse oblige na tle niewielkich flitterów.

Zakotwaczyłem, dałem kluczyki jednemu z ludzi za biurkiem, kiedy zeszliśmy na dół, i zwróciłem się do Jack.

— Sugeruję, żebyśmy najpierw udali się do hotelu, wzięli prysznic i trochę odpoczęli. Do Vikinga możemy pójść jutro.

Rzuciła okiem na zegarek. Jak każdy zegarek ręczny, czy duży zegar w Pasie, ustawiony był na Czas Standardowy Greenwich. Jaki sens miałyby trzymanie się stref czasowych w kosmosie?

— Nie jestem zmęczona — oznajmiła energicznie. — Złapałam mnóstwo snu, kiedy byliśmy w drodze. Dlaczego nie mielibyśmy pójść dzisiaj wieczorem? Mają tam miejsce do tańca, które nazywa się *Bali*, w którym...

Uniosłem rękę.

— Nie. Ty może nie jesteś zmęczona, ale ja tak. Pamiętaj, że musiałem przelecieć tę całą trasę samemu, a potem zaraz wracać. Potrzebuję co najmniej sześć godzin snu w miłym, wygodnym łóżku, zanim będę w stanie gdzieś się ruszyć.

Spojrzenie, jakie mi rzuciła, spowodowało że poczułem każdy rok z moich trzydziestu pięciu, ale nie miałem zamiaru pozwolić jej się gdzieś włóczyć, na tym etapie gry.

Zamiast tego, zapakowałem ją do niewielkiego samochodu szynowego i skierowaliśmy się do Viking Arms, uważanego za najlepszy hotel na Ceres.

Ceres ma całkiem porządne gwie-przyciąganie, jak na planetoidę: trzy procent Standardowego. Na jej powierzchni, ważyłem dobre, solidne pięć funtów. To powoduje, że chodzenie po Ceres jest dużo łatwiejsze niż, powiedzmy, po Raven's Rest. Pomimo tego, ciągle ma się wrażenie, że te małe wózki szybowe pędzące po jej korytarzach, jadą przez cały czas pod górę, ponieważ ich przyśpieszenia są większe niż te marne trzydzieści centymetrów na sekundę kwadrat.

Jack nie odezwała się ani słowem, dopóki nie dotarliśmy do Vikinga, w którym Ravenhurst przewidująco zrobił rezerwację na dwa odrębne pokoje. Tam, kiedy już się zameldowaliśmy, powiedziała:

— Może przynajmniej pójdziemy coś zjeść.

— To nie taki zły pomysł. Możemy wrzucić na ruszt coś pasującego naszym żołądkom. Stek?

Rozjarzyła się do mnie.

— Stek. Brzmi cudownie po tych wszystkich gumniastych koncentratkach. Chodźmy.

Restauracja obok hallu wejściowego, była taka sama jak hall, czy rozciągające się na zewnątrz korytarze – wielkie pomieszczenie wydrążone w metalicznej skale asteroidy. Ściany zostały pomalowane, aby zapobiec rdzewieniu, ale ciągle widoczne były na nich nierówności pozostawione przez promienie słoneczne, które je wypaliły.

Usiedliśmy przy stoliku i kelner przyniósł nam menu. To miejsce na Ziemi nie zostałyby sklasyfikowane wyżej niż trzeciorzędna kawiarenka, ale na Ceres, uważane było jako jedno z lepszych. Ceny z pewnością można było porównać z obowiązującymi w najlepszych restauracjach Nowego Jorku, czy Moskwy, a już zwłaszcza cena mięsa, które trzeba było dostarczać z Ziemi, była – proszę o wybaczenie za ten dowcip słowny – astronomiczna.

Zupełnie mi to nie przeszkadzało. Steki dla dwojga osób, miały pójść prosto na rachunek wydatków. W myślach obiecałem sobie podziękować panu Ravenhurstowi za wspaniałą kawał wołowiny, kiedy kelner w końcu nam go przyniesie.

Gdy tak czekaliśmy, zapaliłem jednak papierosa i powiedziałem:

— Jesteś strasznie cicha, Jack.

— Naprawdę? Mężczyźni są zabawni.

— Czy to tylko konwersacyjny gambit, czy uczciwa uwaga?

— Uwaga. Chodzi mi o to, że mężczyźni zawsze skarżą się, iż dziewczyny za dużo mówią, ale jeśli dziewczyna trzyma język za zębami, myślą że coś jest z nią nie tak.

— Acha. A ty uważasz, że to jakiś paradoks, czy coś w tym stylu?

Wyglądała na zaintrygowaną.

— A nie jest?

— Wcale nie. Hałas młota pneumatycznego wcale nie jest przyjemny, ale jeśli go nie słyszysz, uważasz, że urządzenie nie funkcjonuje odpowiednio. Zastanawiasz się więc, dlaczego.

Kątem oka dostrzegłem człowieka ubranego w czarno-złoty kombinezon Straży Ochrony Ravenhurst, zmierzającego w naszą stronę od drzwi, z użyciem ślizgających się, posuwistych kroków, które najlepiej działały w warunkach niskiego gie. Zignorowałem go i słuchałem Jack Ravenhurst.

— Te słowa mają wszelkie oznaki brudnego zagrania — stwierdziła. Ton jej głosu wskazywał, że nie jest pewna, czy ma się rozgniewać, czy roześmiać.

— Witam, panno Ravenhurst. Cześć, Oak. — Pułkownik Brock dotarł do naszego stolika. Stanął koło niego, uśmiechając się w nieco wymuszony sposób, podczas gdy jego oczy uważnie nas mierzyły.

Miał pięć stóp, dziesięć cali wzrostu, o cal mniej niż ja, i był szczupły, niemalże do punktu wychudzenia. Jego pokryta bliznami, mocno pokiereszowana twarz, wyglądała jakby uzyskała swoją powierzchowność, kiedy próbował pocałować krokodyla.

— Cześć, Brock — odparłem. — Co tam nowego?

Jack posłała mu nic nie znaczący uśmiech i powiedziała:

— Witam, panie pułkowniku.

Widać było, że żaden z nas nie sprawił na niej wrażenia.

— Czy mielibyście państwo coś przeciwko, gdybym się dosiadł? — spytał Brock.

Nie mieliśmy, a więc usiadł z nami.

— Przepraszam, że nie spotkałem was w porcie kosmicznym — poważnie zaczął Brock, — ale posłałem tam paru moich chłopców, którzy mieli wszystko na oku.

W dosyć oczywisty sposób kierował te słowa do Jack, a nie do mnie.

— Wszystko w porządku — powiedziała Jack. — Podczas obecnej wycieczki nigdzie się nie wybieram. — Popatrzyła na mnie i obdarzyła mnie dziwnym uśmiechem. — Tym razem zostanę w domu i będę grzeczną dziewczynką.

Dobroduszny chichot pułkownika Brocka zabrzmiał mniej więcej tak samo prawdziwie, jak brzęk ołowianej monety.

— Och, pani nie jest żadnym kłopotem, panno Ravenhurst.

— Dziękuję, uprzejmy panie; jest pan kiepskim kłamczuchem. — Wstała i uśmiechnęła się słodko. — Panowie, czy mogę was na chwilę przeprosić?

Mogła i zrobiła. Pułkownik Brock i ja obserwowaliśmy jak przemierza salę i znika za drzwiami. Potem odwrócił się do mnie, posłał mi kwaśny uśmiezek i pokręcił głową, trochę smutno.

— A więc, wsadzili ci na głowę Straszliwą Jack, co, Oak?

— Ona jest aż tak okropna?

Jego chichot był tym razem bardziej ponury i brzmiała w nim nuta prawdy.

— Sam się przekonasz. Och, nie chodzi mi o to, że ona ma moralność zepsutej kotki, czy coś podobnego. O ile wiem, ciągle czeka na przybycie Pana Właściwego.

— Prochy? — spytałem. — Alkohol?

— Parę drinków od czasu do czasu – nic więcej — zaprzeczył Brock. — Nie, to nic z tych normalnych rzeczy. Nie chodzi o to, że to ona robi te numery; chodzi o to, że ona namawia innych ludzi, żeby je zrobili. Potrafi przekonywać.

— Zabrzmiało strasznie imponująco — zauważyłem. — Co to znaczy? Jego twarda twarz przyjęła wilczy wygląd.

— Powinienem pozwolić, abyś sam się przekonał. Ale nie; to nie byłoby profesjonalne, ani etyczne.

— Brock — oznajmiłem ze zmęczeniem, — podczas ostatniego tygodnia, zrobiono wokół mnie więcej obejść, niż Merkury wykonał w czasie całego ostatniego milenium. Biorę pod uwagę, że klienci mogą zachowywać się wymijająco, zatrzymywać dla siebie informacje, a nawet kłamać. Ale nie spodziewałem się tego po tobie. No, dalej.

Skinął opryskliwie głową.

— Tak jak powiedziałem, potrafi przekonywać. Namawiać. Może namówić ludzi, do zrobienia niemal wszystkiego co od nich chce.

— Jakiś przykład?

— Jak, na przykład, przekonanie wszystkich patronów w *Bali*, do wykonania tańca brzucha po korytarzach, kompletnie na golasa. Policja Ceres przerwała to, ale jej nigdzie nie można było znaleźć.

Powiedział to tak niewinnym tonem, że od razu wiedziałem, iż to on był odpowiedzialny za wyciągnięcie jej z tego bałaganu.

— A innym razem — mówił dalej, — niemalże udało jej się doprowadzić do wyboru spawacza o nazwisku Plotkin na Dziedzicznego Cara Ceres. Prawdę mówiąc, nawet by jej się to w pełni udało, gdyby nie popełniła błędu i nie kazała samemu Plotkinowi przemawiać do tłumu jego lojalnych zwolenników. Po czymś takim, wszyscy poczuli się tak głupio, że cały ruch się rozpadł.

Kontynuował, opowiadając o pół tuzinie kolejnych przykładów, ilustrujących zdolności dziewczyny do manipulowania ludźmi, bez korzystania z niczyjej pomocy. Żaden z nich, nie był dla mnie nowością; wszystkie one figurowały w aktach Departamentu Badań Politycznych Rządu Narodów Zjednoczonych na Ziemi, obok paru kolejnych, których pułkownik Brock albo nie chciał mi przekazać, albo sam o nich nie wiedział.

Ale słuchałem z zainteresowaniem; pomimo wszystko, nie powinienem wiedzieć o tych wszystkich rzeczach. Jestem tylko zwykłym, szarym „zaufanym człowiekiem od załatwiania spraw”. Tak właśnie brzmi wywieszka na drzwiach mojego biura w Nowym Jorku, i tak napisano na mojej licencji. Wszystko absolutnie legalne i kompletnie nieuczciwe.

Departament Badań Politycznych jest także absolutnie legalny i bardzo nieuczciwy. Teoretycznie powinien być tylko odgałęzieniem Biura Cenzusu

Układu; powinien zajmować się wyłącznie obserwacją i określaniem trendów politycznych. Prawda o tym, że jest on elementem Secret Service Rządu Narodów Zjednoczonych, znana jest tylko relatywnie niewielu ludziom.

Ja ją znam, ponieważ pracuję dla Departamentu Badań Politycznych.

DBP już wcześniej miało ludzi badających interesy zarówno Ravenhursta, jak i Thurstona, ale kiedy dowiedziano się, że Ravenhurst poszukuje zaufanego człowieka, do jakiegoś specjalnego zadania, natychmiast mnie w to szybko wcisnęli.

Nie jest łatwo oszukać inteligentnych agentów operacyjnych, takich jak pułkownik Brock, ale, przynajmniej jak dotąd, miałem na tyle dużo szczęścia by dać sobie z tym radę, grając rolę ignoranta-ale-nieglupiego.

Przyniesiono nam steki i w myślach zasalutowałem Ravenhurstowi, tak jak to sobie obiecałem wcześniej. Potem, raczej trochę za późno, spytałem pułkownika, czy chciałby zjeść z nami.

— Nie — odparł, kręcąc głową. — Nie, dzięki. Muszę wszystko przygotować, do jej jutrzejszej wizyty w fabryce Vikinga.

— Och? Coś ukrywamy? — spytałem uprzejmie.

Nawet nie miał zamiaru przyjmować pozy obrażonego.

— Nie. Muszę się tylko upewnić, żeby jakaś maszyna nie zrobiła jej krzywdy, to wszystko. Większość z nich jest automatyczna, a ona ma w zwyczaju podchodzić zbyt blisko. Myślę, że jej się wydaje, iż potrafi namówić maszynę, żeby jej nie zraniła, równie łatwo jak namówić człowieka, żeby stanął na głowie.

Jack Ravenhurst wracała do stolika. Zauważyłem, że poprawiła elegancko włosy i zrobiła sobie makijaż. Dzięki temu wyglądała znacznie bardziej kobieco, niż podczas lotu na pokładzie flittera.

— No cóż — powiedziała, kiedy usiadła, — czy postanowiliście już, co ze mną zrobicie?

Pułkownik Brock tylko się uśmiechnął i odparł:

— Myślę, że powinniśmy pozostawić to pani, panno Ravenhurst. — Potem wstał od stołu. — A teraz, jeśli państwo mi wybaczą. Muszę zająć się moimi sprawami.

Jack skinęła głową, posłała mu szybki uśmiech i zabrała się do swojego steku, z żarłocznością niekarmionego kurczaka w koszu pełnym pszenicy.

Manna Jacqueline Ravenhurst ewidentnie na razie nie miała ochoty ze mną rozmawiać.

Na Ceres, tak samo jak na większości z głównych planetoid, można powiedzieć, że dom każdego człowieka jest jego zamkiem, nawet jeśli jest to tylko pokój hotelowy. Ruda niklowo-żelazowa, podstawowy materiał budowlany, jest tak tania, że ściany i drzwi rzadko wykonuje się z czegokolwiek innego, a więc pokój hotelowy przypomina bardziej skarbiec bankowy, niż jakąkolwiek inną rzecz, jaką można zobaczyć na Ziemi. Za każdym razem, kiedy wchodzę do któregoś z hoteli na Ceres, czy na Eros, mam poczucie, jakbym był albo zwitkiem certyfikatów złota, albo jakimś

szczególnie głośnym więźniem, odprowadzanym do średniowiecznej celi więziennej. Nie były one może zbyt ładne, ale za to solidnie zbudowane.

Jack Ravenhurst poszła do swojego pokoju, po obdarzeniu mnie dosyć wyraźnym zranionym uśmiechem, który miał pokazywać jej rozczarowanie, iż nie pozwolono jej udać się do nocnego klubu. Poklepałem ją po ramieniu, w opiekuńczym stylu starszego brata, i powiedziałem jej, żeby dobrze się wyspała, ponieważ jutro musimy wstać wcześniej rano i z jasnymi głowami.

Kiedy już znalazłem się w swoim pokoju, uważnie sprawdziłem bagaż. Został tu dowieziony z portu kosmicznego, gdzie pozostawiłem go w depozycie przed podróżą na Raven's Rest Ravenhursta, na polecenie samego Ravenhursta. Pokój w którym mieszkałem był jednym z wynajmowanych na stałe przez Ravenhursta, do swego własnego użytku. Wiedziałem również, że Jack w swoim apartamencie trzymała całą garderobę dla siebie.

W moim bagażu nie było pluskiew – ani widu ani słyhu urządzeń szpiegowskich wszelkiego rodzaju. Nie to, żebym był specjalnie zmartwiony, gdybym jakieś znalazł; chciałem po prostu wiedzieć, czy ktoś mógłby być na tyle prymitywny, żeby spróbować przemycenia w ten sposób do apartamentu pluskwy.

Gong u drzwi zagrał jakąś poważną melodię.

Rzuciłem okiem przez wizjer w drzwiach i zobaczyłem człowieka w uniformie gońca hotelowego, trzymającego walizkę podróżną. Rozpoznałem jego twarz, więc wpuściłem go do środka.

— Reszta pańskiego bagażu, proszę pana — oznajmił z kamienną twarzą.

— Dziękuję bardzo — odparłem. Wręczyłem mu napiwek i wypadł z pokoju.

To było specjalne wyposażenie i nie chciałem aby Ravenhurst, czy ktokolwiek inny dostał to w swoje łapska.

Otworzyłem ją uważnie specjalnym kluczem, wsunąłem rękę pod ubranie leżące na wierzchu dla kamuflażu i namacałem niewielki detektor, który był mi potrzebny. Potem obszedłem dokoła pokój, pogwizdując delikatnie pod nosem.

Miłą rzeczą w tych grubych metalowych ścianach pokoiów hotelowych było to, że nie można było w nich ukryć działającej niezależnie pluskwy, która nadawałaby się do jakiegokolwiek użytku. Malutki nadajnik, ukryty w środku, nie byłby w stanie przebić się przez ściany, tak więc każda pluskwa musiała mieć przewód, prowadzący na zewnątrz pokoju.

Nie znalazłem niczego takiego. Albo Ravenhurst utrzymywał ten pokój w „czystości”, albo ktoś używał znacznie bardziej wyrafinowanych pluskiew, niż te, o których ja wiedziałem. Ponownie otworzyłem walizkę podróżną i wyjąłem jeden z moich ulubionych gadżetów. To było proste urządzenie, naprawdę: generator hałasu. Ale hałas przez niego generowany był szumem nielosowym. Na tle białego, czysto losowego szumu, można wychwycić rozmowę, nawet jeśli jest ona cichsza, poniżej poziomu słyszalności, po prostu dlatego, że rozmowa zawiera w sobie określone wzorce. Ale ten mój mały generator miał nielosowy charakter.

Był to wielokrotny zapis dziesięciu tysięcy rozmaitych rozmów, wszystkie pozbawione znaczenia, na tle białego szumu. Spróbujcie coś takiego rozgryźć na swoich analizatorach różnicowych.

Kiedy skończyłem, nikt nie mógł wychwycić w tym pokoju żadnego dialogu, chyba że używał, tak jak mówiłem, bardziej wyrafinowanych pluskiew, niż jakiegokolwiek znane Narodom Zjednoczonym.

Potem podszedłem i zapukałem do drzwi łączących pokój mój i Jack Ravenhurst. Nie było odpowiedzi.

Powiedziałem:

— Jack, wchodzę do ciebie. Mam klucz.

Zawołała:

— Odejdź. Jestem nieubrana. Idę do łóżka.

— Załóż coś na szybko — nalegałem. — Wchodzę do ciebie.

Otworzyłem drzwi kluczem.

Była mniej więcej tak samo ubrana do łóżka, jak i ja, chyba że miała zwyczaj spania w najlepszych strojach wieczorowych. W jej oczach na sekundę zapłonął gniew, potem jednak przygasł i spróbowała przybrać wyraz czystej słodyczy.

— Przymierzałam jakieś nowe ubrania — oznajmiła niewinnie.

Mnóstwo ludzi mogłoby jej uwierzyć. Pole emocjonalne, które wysłała z siebie, zachęcające do całkowitej wiary w każde jej słowo, było tak potężne, jak żadne inne, które miałem okazję poczuć. Pozwoliłem po prostu, żeby przeszło pomimo mnie, i odparłem:

— Przyjdź do mojego pokoju za kilka minut, Jack. Chciałbym z tobą porozmawiać.

Nie wygłosiłem tego zdania z jakimś specjalnym naciskiem. Nie musiałem. Przyszła.

Kiedy oboje znajdowaliśmy się w moim ekranowanym pokoju, którego ściany wibrowały dziesięcioma tysiącami głosów, a w środku znajdował się obszar wytłumiony, oznajmiłem jej cierpliwym tonem:

— Jack, osobiście nie obchodzi mnie dokąd pójdziesz, ani co będziesz robić. Jutro, możesz sobie wykonać ten swój numer ze zniknięciem i urządzić sobie bal, jeśli o mnie chodzi. Ale są pewne rzeczy, które musimy wcześniej zrobić. Tak więc, siadaj teraz i posłuchaj.

Usiadła, z rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma. Ewidentnie, nikt jeszcze nigdy nie pobił jej, w jej własnej grze.

— Dzisiaj zostaniesz tutaj i złapiesz trochę snu. Jutro, pójdziemy na zwiedzanie Vikinga, to pierwsza rzecz, jaką zajmiemy się rano. Jutro po południu, zaraz jak tylko uznam, że nadszedł właściwy moment, możesz się stąd wymknąć. Pokażę ci jak zmienić wygląd, aby nikt cię nie rozpoznał. Możesz sobie robić co ci się żywnie podoba, przez dwadzieścia cztery godziny. Ja, oczywiście, będę szukał cię ze wszystkich sił, ale nie znajdę, dopóki nie zakończę mojego dochodzenia.

— Z drugiej strony, chcę wiedzieć gdzie jesteś, przez cały czas, tak żebym mógł się z tobą skontaktować, jeżeli będę tego potrzebował. A

więc, nieważne gdzie będziesz, pozostawaj ze mną w kontakcie, dzwoniąc na BANning 6226 za każdym razem kiedy zmienisz miejsce gdzie się znajdujesz. Zapamiętałaś numer?

Przytaknęła.

— BANning 6226 — powtórzyła.

— Idealnie. No dobrze, agenci Brocka będą cię pilnować, a więc muszę wymyślić sposób w jaki się im wymkniesz, ale to nie będzie zbyt trudne. Powiem ci we właściwym czasie. Na razie wracaj do siebie, połóż się do łóżka i postaraj się trochę przespać. Będziesz tego potrzebowała. No, dalej.

Skinęła głową, dosyć mocno oszołomiona, wstała i podeszła do drzwi. Odwróciła się, powiedziała dobranoc, cichym, zaintrygowanym głosem i zamknęła drzwi za sobą.

Pół godziny później, po cichu wślizgnąłem się do jej pokoju, tak tylko dla sprawdzenia. Spała smacznie w łóżku. Wróciłem do swojego pokoju i sam się trochę położyłem.

— **T**o przyjemność gościć tu panią ponownie, panno Ravenhurst — przywitał nas Główny Inżynier Midguard. — Co w szczególności chciałaby pani tym razem zobaczyć? — Powiedział to tak, jakby naprawdę ucieszyła go konieczność oprowadzenia nastoletniej córki szefa po fabryce pojazdów kosmicznych.

W takim razie, może i tak było. Był jowialnym, siwiejącym mężczyzną po sześćdziesiątce, który prawdopodobnie przez pierwsze pół stulecia swojego życia był dosyć przystojnym pozeraczem niewieścich serc, ale teraz zbliżał się już do wieku średniego, co miało zgodny z przewidywaniami wpływ na jego telewizyjną urodę.

Jack Ravenhurst okazała królewską wyrozumiałość, z czymś w rodzaju noblesse oblige, która w sercu każdego podwładnego powinna skutkować pełną czci wdzięcznością.

— Och, to tylko krótka wycieczka po tych miejscach, które uzna pan za interesujące, panie Midguard. Nie chciałabym zabierać panu zbyt dużo czasu.

Midguard zapewnił, że ma jej do pokazania parę ciekawych rzeczy, i cała grupa, w skład której wchodził również czujny i małomówny pułkownik Brock, rozpoczęła obchód fabryki Vikinga.

W chwili obecnej, w budowie były trzy statki: dwa statki ładunkowe i solidnych rozmiarów liniowiec pasażerski. Midguard zdawał się myśleć, że każdy krok budowy pojazdu kosmicznego, był absolutnie fascynujący – i chwala mu za to – ale jak dla mnie, to wszystko było trochę przydługie. Zajęło nam to trzy godziny.

W końcu zapytał:

— Chciałaby pani zobaczyć McGuire-7?

Dlaczego nie, tak, oczywiście że chciałaby. Tak więc, podreptaliśmy do nowego statku, podczas gdy Midguard utrzymywał stały potok wymowy.

— Wydaje nam się, że usunęliśmy z niego wszystkie błędy komputerowe, panno Ravenhurst. To kwestia nowych urządzeń kontrolnych i zabezpieczających. Sądzymy, iż problemy z sześcioma pierwszymi maszynami polegały na tym, że zostały one zaprojektowane do działania na głosowe rozkazy wydawane przez dowolnego uprawnionego ludzkiego operatora. Kłopot w tym, że nie miały one sposobu określenia, kto był uprawniony. Mózgi były absolutnie w stanie rozróżnić jedną osobę od drugiej, ale nie potrafiły powiedzieć, czy dana osoba jest pilotem kosmicznym, czy odźwiernym. Prawdę mówiąc...

Zazaczyłem sobie najbardziej istotne punkty jego przemowy. MG-YR-7 miał być statkiem ściśle jednoosobowym. Miał wbudowane psie nastawienie – przyjacielski w stosunku do wszystkich ludzi, lecz lojalny wyłącznie swemu panu. Oczywiście, było prawdopodobne, że statek przeżyje swego pana, a więc jego lojalność mogła zostać zmieniona, ale tylko przy użyciu specjalnych kluczy przełącznikowych.

Chłopcy od robotyki nie byli pewni, czy pierwszych sześć oszalało, ale byli niemal całkowicie przekonani, że podstawową przyczyną, była kwestia zbyt wielu panów. Genialny biofizyk, Asenion, który w poprzednim wieku ogłosił Trzy Prawa Robotyki, pokazał w swoich pismach, że były to tylko pewne nieosiągalne ideały – że mówią one jedynie, jakie powinny być doskonałe roboty, a nie jakie rzeczywiście były.

Pierwsze Prawo, na przykład, zabrania robotom czynić krzywdę istotom ludzkim, zarówno przez działanie, jak i jego zaniechanie. Ale Asenion pokazał, że robot może stanąć wobec sytuacji, które pozwalają na podjęcie tylko dwóch możliwych decyzji, z których każda wymaga skrzywdzenia człowieka. W takich przypadkach, robot popada w szaleństwo.

Stwierdziłem, że zaczynam spekulować, jakiego rodzaju sytuację, jakiego rodzaju paradoks Aseniona, mogło napotkać te pierwsze sześć statków. Oraz czy miało to miejsce na skutek przypadku, czy też wad konstrukcyjnych. Nie dlatego, by roboty McGuire były budowane ściśle w zgodzie z Prawami Robotyki; to było niemożliwe w obecnej sytuacji. Niezależnie jednak od tego, w jaki sposób doskonale logiczna maszyna zostanie zbudowana, ludzki umysł zawsze jest w stanie coś wymyślić aby ją ogłupić, ponieważ ludzki umysł jest zdolny do przekraczania praw logiki.

Statek McGuire był okazem piękna. Śliczna, smukła igła, zdolna zarówno do lotów atmosferycznych, jak i nawigacji w kosmosie, z lśniącym jak lustro, berylowo-niebieskim poszyciem na całej sześćdziesięciopięciostopowej długości jej – czy też raczej jego – kadłuba.

Statek stał dumnie wyprostowany na powierzchni planetoidy, rysując się na tle wypełnionej punkcikami gwiazd czerni kosmosu, jasną iglicą, błyszczącą w przesuwających się promieniach słońca. Obejrzelismy go przez przezroczysty port widokowy, a potem weszliśmy w elastyczny plastikowy tunel, który prowadził do jego śluzy powietrznej.

Statek w środku był równie piękny, jak na zewnątrz. Schludny, kompaktowy i efektywny. Sterówka – jeśli można ją było tak określić – była zupełnie niepodobna do sterówki żadnego innego statku, który wcześniej widziałem. Znajdowały się w niej tylko leżanka antyprzeciążeniowa i przyrządy obserwacyjne. Midguard wyjaśnił, że do obsługi statku nie trzeba było być pilotem; każdy kto znał podstawy astronawigacji mógł dotrzeć do miejsca przeznaczenia, po prostu mówiąc statkowi, co chce zrobić.

Jack Ravenhurst przyjęła to wszystko z ogromnym zainteresowaniem.

— Panie Midguard, czy mózg jest aktywny? — spytała.

— Och, tak. Przez ostatni miesiąc kształciliśmy go, pompując w niego informację tak szybko, jak tylko był w stanie ją zapisywać i indeksować. Obecnie ten etap już został zakończony; czekamy tylko na wybór pilota testowego do końcowego lotu ewaluacyjnego. — Mówiąc to spoglądał czujnie na Jacky, tak jakby na coś czekając.

Najwyraźniej czuł, co się kroi.

— Chciałabym z nim porozmawiać — oznajmiła Jack. — To takie interesujące, przeprowadzić inteligentną rozmowę z maszyną.

— Obawiam się, że to jest niemożliwe, panno Ravenhurst — odparł z widocznym zatroskaniem Midguard. — Widzi pani, McGuire jest tak ustawiony, że głos pierwszego rozmówcy, którego usłyszy, zostanie przez niego uznany za głos jego pana. Właśnie dlatego, nazywamy to „reakcją pisklęcia”. Wie pani, pierwsza poruszająca się rzecz, którą zobaczy nowo wyklute pisklę, uznawana jest przez nie za matkę, i po zaimplantowaniu to uwarunkowanie nie może już zostać cofnięte. W przypadku McGuire’a potrafimy zmienić jego orientację w tym względzie, ale wolelibyśmy raczej przez to nie przechodzić. Po tym, jak pilot ustanowi swój kontakt, może pani z nim porozmawiać, kiedy tylko pani zechce.

— A kiedy ten pilot tutaj będzie? — spytała Jack, ciągle słodka jak miód.

— Za parę dni. Wygląda na to, że naszym wyborem będzie Nels Bjornsen. Może pani o nim słyszała.

— Nie — odparła. — Ale jestem pewna, że wasz wybór będzie odpowiedni.

Midguard nadal czuł się winny.

— No cóż, wie pani jak to jest, panno Ravenhurst. Nie możemy powierzyć tak delikatnej maszyny jak ta, podczas jej ważnej próby, pierwszemu lepszemu. To musi być człowiek o umiejętności dobrej oceny i szybkim refleksie. Musi wiedzieć dokładnie co i kiedy powiedzieć, jeśli pani mnie rozumie.

— Och, pewnie; pewnie. — Przerwała i popatrzyła z namysłem. — Przypuszczam, że podjęliście środki zabezpieczające przeciwko komuś, kto próbowałby się tu zakraść i przejąć kontrolę nad statkiem?

Midguard uśmiechnął się i mądrze pokiwał głową.

— Oczywiście. Komunikacji z McGuirem nie można nawiązać, dopóki na panelu aktywacyjnym nie zostaną użyte dwa klucze. Ja noszę jeden; pułkownik Brock ma drugi. Żaden z nas nie wyda tych kluczy nikomu, poza akredytowanym pilotem testowym. A McGuire sam podniesie alarm,

gdyby ktokolwiek próbował wyważyć zamki. Ma swój własny alarm antywłamaniowy.

Przytaknęła.

— Rozumiem. — Chwila przerwy. — No cóż, panie Midguard. Myślę, że wykonał pan naprawdę godną pochwały pracę. Bardzo panu dziękuję. Czy jest jeszcze coś, co uważa pan, że powinnam zobaczyć?

— No więc... — stał z niezdecydowanym uśmiechem. — Jeżeli jest jeszcze coś, co chciałaby pani widzieć, z radością pani to pokażę. Ale pani już obejrzała nasze... hmm... koronne dzieło, jeśli można się tak wyrazić.

Zerknęła na nadgarstek. Minęło już ponad cztery godziny, od czasu kiedy zaczęliśmy.

— Chyba jestem odrobinę zmęczona — powiedziała Jack. — I także trochę głodna. Powiedzmy, że to co mieliśmy zaplanowane na dzisiaj możemy uznać za zakończone i pójdźmy coś zjeść.

— Doskonale! Doskonale! — podchwycił Midguard. — Byłby to dla mnie zaszczyt, gdybym mógł pełnić honory domu, jeśli pani zechce. Moglibyśmy zjeść małe co nieco w moim apartamencie.

Doskonale wiedziałem, że miał przygotowany pełny lunch.

Dziewczyna podziękowała za jego zaproszenie i przyjęła je. Brock i ja ruszyliśmy jej śladem, jak dwaj ochroniarze, których funkcje przecież mieliśmy pełnić. Zastanawiałem się, czy Brock podejrzewał mnie o to, że byłem kimś więcej, niż się wydawałam. Jeśli nie, to byłby głupszy niż myślałem; z drugiej jednak strony nijak nie mógł być pewny. Nie martwiłem się o to, że odkryje iż byłem agentem Narodów Zjednoczonych; na to była raczej znikoma szansa. Brock nawet nie miał pojęcia, że Rząd Narodów Zjednoczonych posiadał Secret Service; było więc mało prawdopodobne, że będzie mnie podejrzewał o pracę dla przypuszczalnie nieistniejącego ciała.

Łatwo mógł jednak wpaść na pomysł, że zostałem wysłany aby sprawdzić groźbę powodowaną przez niego i Thurstona i, jeśli miał choćby odrobinę oleju w głowie, musiało tak faktycznie być. Nie miałem zamiaru dawać mu żadnych powodów potwierdzających takie podejrzewania, nawet jeśli nie mogłem nic na nie poradzić.

Midguard miał apartament w sektorze dla kierownictwa, osiedla Vikinga, całkiem duże mieszkanie z wyłożonymi plastikiem ścianami, zamiast zwyczajnego pomalowanego niklo-żelaza. Jak na Ceres, bardzo luksusowe.

Posiłek został podany w atmosferze skrywanego napięcia, które uczyniło wszystkich odrobinę sztywnymi i skrępowanymi, z możliwym wyjątkiem Jack Ravenhurst i zdecydowanym wyjątkiem mojej skromnej osoby. Przesłuchiwałem się tylko uprzejmie wysiłonym uprzejmościami, przechodzącym w krótkie wymiany zdań, i oczekiwałem na szansę, która jak wiedziałem, powinna nadarzyć się w czasie tego posiłku.

Po skończeniu jedzenia, kiedy rozsiedliśmy się z zapalonymi papierosami i lamką wina w dłoni, dałem dziewczynie sygnał, który ustaliliśmy wcześniej. Przeprosiła wszystkich grzecznie i opuściła pokój.

Po piętnastu minutach, zacząłem wyglądać, na lekko zaniepokojonego. Łazienka była tylko o jedno pomieszczenie dalej – byliśmy w jadalni, zaś łazienka znajdowała się koło głównej sypialni – i przypudrowanie twarzy, oraz przyczesanie włosów, w żaden sposób nie powinny jej zabrać aż tak dużo czasu.

Niby mimochodem wspomniałem o tym pułkownikowi Brockowi, on zaś uśmiechnął się lekko.

— Spokojnie, Oak; nawet jeśli wyjdzie z tego mieszkania, moi ludzie ruszą za nią, dokądkolwiek by nie poszła. Otrzymałbym meldunek o tym w minutę po jej wyjściu.

Skinąłem głową, pozornie usatysfakcjonowany.

— Polegam więc na tym — stwierdziłem. — W przeciwnym razie, odprowadziłbym ją do samych drzwi.

Zachichotał i wyglądał na zadowolonego.

Dziesięć minut później, nawet on zaczął wyglądać na lekko zmartwionego.

— Może lepiej pójdźmy sprawdzić — zaproponował. — Mogła sobie coś zrobić, albo... albo źle się poczuć.

Midguard wyglądał na poddenerwowanego.

— Zaraz, chwileczkę, panie pułkowniku! Nie mogę pozwolić na to, aby pozwolić panu na przeszkadzanie młodej dziewczynie w... ehmm... łazience. A już specjalnie, pannie Ravenhurst.

Brock szybko podjął decyzję; musiałem mu to przyznać.

— Proszę natychmiast wezwać przez telefon pannę Pangloss! — rzucił ostro. — Mieszka trochę dalej przy tym korytarzu. Na pańskie polecenie natychmiast się tutaj pojawi.

Równocześnie poderwał się na nogi i poleciał długim skokiem w kierunku drzwi. W locie złapał za framugę, okręcił się szybko, wchodząc na nową orbitę i wystrzelił się ku drzwiom frontowym.

— Zapukaj do tej łazienki, Oak! — wrzasnął wypadając z mieszkania.

Zrobiłem długiego, niskiego nura w stronę sypialni, wykręciłem się w lewo, a potem skierowałem się ostro do drzwi łazienki. Zacząłem w nie łomotać:

— Panno Ravenhurst! Jack? Czy wszystko w porządku?

Brak odpowiedzi.

Dobrze. Nie powinno być.

Pułkownik Brock wstrzelił się do mieszkania i wyhamował o ścianę.

— Jakaś odpowiedź?

— Nie.

— Moi ludzie na zewnątrz twierdzą, że nie wychodziła. — Zastukał ostro w drzwi kolbą swojego paralizatora. — Panno Ravenhurst! Czy coś się dzieje?

Znowu żadnej odpowiedzi.

Widać było, że pułkownik Brock bije się z myślami się, czy nie powinien ruszyć do akcji i sam zaszarżować na drzwi, zamiast czekać na

mieszkającą nieco dalej kierowniczkę. Ciągłe się nad tym zastanawiał, kiedy kobita pojawiła się na miejscu, eskortowana przez paru umundurowanych strażników pułkownika

Panna Pangloss była jedną z tych energicznych, efektywnych, robiących karierę kobiet w średnim wieku, które nie czynią wokół swojej osoby niepotrzebnego zamieszania. Widziała, nas pukających wcześniej do drzwi, a więc sama nie zwracała sobie głowy pukaniem. Po prostu otworzyła drzwi i weszła do środka.

Łazienka była pusta.

I znów, dokładnie tak jak powinna.

Wtedy rozpętało się piekło, przy czym największy rwetes robiliśmy ja i Brock. Zajęło niemal dziesięć minut zanim ustalono, że jedyną osobą, która opuściła ten teren, był starszy, szczupły mężczyzna, mający na sobie workowaty kombinezon roboczy pracownika służb utrzymania.

Do tego czasu, od zniknięcia Jack Ravenhurst minęło już ponad trzydzieści minut. Mogła być niemal gdziekolwiek na Ceres.

Pułkownik Brock był wściekły, tak samo jak ja. Szydziłem otwarcie z jego zapewnień, że dziewczyna nie mogła stąd wyjść, a w odpowiedzi sam oberwałem, za pozwolenie innym ludziom na zajmowanie się czymś, co powinno być moją pracą. Ta faza trwała jednak tylko co najwyżej jakąś minutę.

Potem pułkownik Brock wymamrotał:

— Musiała mieć w torbie maskę z pleksiskóry, perukę i kombinezon roboczy. O ile sobie przypominam, jej torba była całkiem niezłych rozmiarów. — Nawet się nie zająknął, jak beztrosko się zachowałem, pozwalając jej na umieszczenie takich rzeczy w torbie. — No dobrze — oznajmił po chwili, — znajdziemy ją.

— Ja też mam zamiar się za nią rozejrzeć — powiedziałem. — Będę w kontakcie z twoim biurem.

Wyszedłem stamtąd.

Najszybciej jak to możliwe przeszedłem do publicznego telefonu, wystukałem BANning 6226 i powiedziałem:

— Marty? Jakież wiadomości?

— Jak dotąd, nie.

— Oddzwonię.

Rozłączyłem się i odszedłem stamtąd.

Parę następnych godzin spędziłem obnosząc swoje kilogramy po całym Ceres. Jako osobisty przedstawiciel Shalimara Ravenhursta, który był dyrektorem Viking Spacecraft, które z kolei było właścicielem Ceres, miałem sporo wagi do obnoszenia. Musiałem obskoczyć każdego kierownika na planetoidzie, zanim miałem to za sobą.

Pułkownik Brock, oczywiście, piekł się w sosie własnym. Raz udało mu się złapać mnie telefonicznie, kiedy zadzwonił do dr Perelsona, z którym akurat w tym czasie rozmawiałem.

Telefon zadzwonił, Perelson powiedział:

— Przepraszam bardzo — i poszedł odebrać.

Słyszałem jego głos z drugiego pokoju.

— Pan Daniel Oak? Tak, jest tutaj. No cóż, tak. Och, o wszystko co się da, panie pułkowniku. — Głos Perelsona wydawał się być zarówno podirytowany, jak i zatroskany. — Powiedział mi, że panna Ravenhurst zaginęła, czy to prawda? Och? No cóż, czy ten człowiek ma jakieś prawo, żeby mnie tak wypytywać? O co mnie wypytuje? O wszystko!.. Jak dobrze znam tę dziewczynę, kiedy ostatni raz ją widziałem – tego rodzaju rzeczy. Dobry Boże, ja ją ledwie parę razy spotkałem! — Jego irytacja zaczynała coraz bardziej narastać. — Ale czy on ma prawo, żeby zadawać te wszystkie pytania? Och. Tak. No cóż, oczywiście, z największą chęcią będę współpracować w każdej sprawie, w której będę w stanie... Tak... Tak. Dobrze, zaraz go poproszę.

Kiedy dr Perelson wystawił głowę z za narożnika i powiedział „To do pana”, wstałem z na w pół leżącej pozycji, jaką zajmowałem opierając się o ścianę i szurając nogami przeszedłem przez pokój. Wyglądał jakby ktoś dodał mu siarczanu aluminium do płynu do ust.

Wziąłem odbiornik i popatrzyłem na twarz Brocka na ekranie. Nawet nie dał mi szansy, aby cokolwiek powiedzieć.

— Co ty próbujesz zrobić! — wybuchnął krzykiem.

— Próbuję odnaleźć Jacqueline Ravenhurst — odparłem tak spokojnie, jak tylko mogłem.

— Oak, ty chyba zwariowałeś! Przecież do tej pory już się rozeszło po całej Ceres, że córka szefa zaginęła! Shalimar Ravenhurst zażąda za to twojej głowy!

— Naprawdę? — rzuciłem mu Numer 2 – spojrzenie niewinne, pełne zdziwienia. — A dlaczego?

— Ty idioto, myślałem, że masz na tyle zdrowego rozsądku, żeby wiedzieć, iż takie rzeczy trzeba załatwiać po cichu! Już nieraz wywinęła nam ten numer i zawsze udawało nam się zatuszować sprawę, zanim cokolwiek się stało! Byliśmy w stanie zamiatać wszystko pod dywan, z dala od wścibskich oczu, od chwili kiedy skończyła piętnaście lat, a teraz ty wrzuciłeś granat w szambo i tworzysz aferę, której się nie zapomni do końca świata!

Wygłosił tę przemowę, jakby została dla niego napisana, co do joty, z trzema znakami wykrzyknika po każdym zdaniu, dodając odpowiednie gesty i grymasy po każdym słowie.

— Robiłem tylko to, co według mnie było najlepsze — odparłem. — Chcę ją odnaleźć najszybciej, jak to możliwe.

— No, dobra, koniec z tym! Natychmiast! Od tej chwili pozwól, abyśmy to my się tym zajęli!

Wtedy spuściłem mu trochę powietrza.

— A teraz, to ty mnie posłuchaj, Brock. To ja odpowiadam za Jack Ravenhurst, a nie ty. Ja ją zgubiłem i ja ją odnajdę. Wdzięczny będę za twoją współpracę, i nie chcę z tobą walczyć, ale jeśli nie podoba ci się sposób w jaki to załatwiam, każ po prostu swoim chłopcom wracać do ich normalnej pracy i pozwól mi uporać się z tym samemu, nie wtrącając się. No to jak, co wybierasz?

Otworzył usta, zamknął je i wydmuchnął powietrze przez zaciśnięte wargi. Potem powiedział:

— Dobrze. Mleko już i tak już się rozlało. Nie myśl jednak, że nie zamelduję wszystkiego Ravenhurstowi, zaraz jak tylko będę mógł połączyć się z Raven's Rest.

— To twoja praca i twoje zmartwienie, nie moje. A teraz, czy znalazłeś jakieś tropy?

— Nic — przyznał.

— A więc, idę dalej i spróbuję coś wykopać. Dam ci znać, kiedy będziesz mi potrzebny. — I rozłączyłem się.

Dr Perelson siedział na swojej kanapie z wyrazem twarzy, wskazującym że pH jego śliny spadło do poziomu około jeden i pół.

Oznajmiłem mu:

— To byłoby chyba wszystko, doktorze Perelson. Dziękuję panu za współpracę.

I wyszedłem na korytarz, pozostawiając go ze zbaraniałą miną.

Przy następnym publicznym telefonie, wybrałem znów numer BANning.

— Jakież wieści?

— Nie od niej; ona w ogóle się nie zgłosiła.

— Nie liczyłem na to. Coś jeszcze?

— Dokładnie tak, jak mówiłeś — poinformował mnie. — Z pewnymi sympatycznymi ozdóbkami na dodatek. Dziesięć minut temu tłum dzieciaków – w wieku od szesnastu do dwudziestu dwu lat – gdzieś tak ze czterdzieści sztuk – rozpoczął festiwal muzyczny i mecz futbolowy na korytarzu przed placówką pułkownika Brocka. Chłopaki, którzy byli tam na służbie uznali w tym rękę Jack Ravenhurst, i próbowali ją odnaleźć w tym tłumie. Nic nie wyszło. Ani śladu po niej.

— Ta dziewczyna ma nie tylko energię — stwierdziłem, — ale jest błyskotliwa jak rozbłysk słoneczny.

— Pełna zgoda. Teraz kieruje się w stronę biura dr Midguarda. Nie mam pojęcia co zamierza, ale przyglądanie się temu, powinno być niezłą zabawą.

— A gdzie w tej chwili jest Midguard? — spytałem.

— Kręci się wokół Brocka, tak jak sądziliśmy. Można było przewidzieć, że będzie zmartwiony i czuje się odpowiedzialny, ponieważ ona zniknęła z jego mieszkania.

— No cóż, wzbudziłem tak duży zamęt w tym nieważkim mrowisku, żeby dać im tyle powodów do zmartwień ile tylko się da. Powiedz mi, jak to wygląda całościowo?

— Niemal idealnie. Cała sprawa jest nieco skandaliczna i bardzo tajemnicza, tak więc wszyscy przyglądają się temu z wypiekami na twarzy. Jeżeli ktokolwiek zobaczy Jacqueline Ravenhurst, biegnie od razu do telefonu, i naturalnie widziało ją już kilkunastu różnych ludzi w

kilkunastu różnych miejscach. Dało to więc chwilowo zajęcie zarówno strażnikom Kompanii Brocka, jak i policji.

— Świetnie. Uważaj jednak, by chłopcy, którzy siedzą na jej ogonie, zmieniali się na tyle często, żeby ich nie spostrzegła.

— Nie zajmuj sobie tym, twojej pełnej ważnych spraw główki, Dan — odparł. — Oni znają się na swojej robocie. Boisz się, że mogliby ją zgubić?

— Nie, nie boję, i dobrze o tym wiesz. Po prostu nie chcę, aby się dowiedziała, że jest śledzona. Ona jeżeli nie może zgubić swojego cienia, próbuje z nim pogadać i uruchamia wszystkie swoje talenty, przekonując go że sam powinien sobie pójść.

— Myślisz, że dałaby radę? Z *moimi* chłopakami?

— Nie, ale jeśli tego spróbuje, będzie to oznaczało, że wie iż jest śledzona. Trudniej będzie utrzymać jej na ogonie ludzi. Poza tym, nie chcę żeby spróbowała kogoś przekonać i przegrała.

— Ich graben Sie. Na wypadek tej śladowej szansy, że któregoś spostrzeże i walnie mu dobrą gadkę, rozpuszczę wiadomość że ewentualna ofiara ma zamknąć gębę, spokojnie odmaszerować i spadać stamtąd.

— Dobrze — powiedziałem — wolałbym jednak, żeby w ogóle się nie dowiedziała.

— Nie dowie się. Zaczynasz się robić czepialski, Dan. Tak mi się coś wydaje, że sam wolałbyś zająć się tą robotą, i myślisz że nikt nie da rady poza tobą.

Posłałem mu swój najlepszy uśmiech.

— Jesteś bliżej niż myślisz. O.K., odpuszczam to sobie. Zajmuj się swoim końcem, a ja zajmę się moim

— Uczciwa wymiana nie wymaga dalszych targów. Idź i nie grzesz więcej.

— Zadzwońię do ciebie zanim wejdę do środka — powiedziałem i rozłączyłem się.

Rozgrywanie gry we wnętrzu zatłoczonej asteroidy, nie jest tym samym, co rozgrywanie gry, powiedzmy, w Honolulu, czy Władystoku. Szczególnie jeśli gra jest kombinacją chowanego i ciuciubabki. Problemem jest brak komunikacji. Kontakt radiowy wewnątrz bryły metalu, ograniczony jest ściśle do linii prostej, w zasięgu widoczności. Promienie radarowe mogą dotrzeć nieco dalej, ale trzeba być chyba genialnym bilardzistą, żeby posłać wiązkę odbijając ją wokół wielu narożników, a nawet wtedy korytarze musiałyby być zupełnie puste, co nigdy się nie zdarza. Aby wrócić do analogii z grą, to byłoby podobne do próby posłania dziewięćdziesięciostopowego uderzenia piłką przez Time Square podczas Sylwestra.

Śledzenie kogoś, nie jest nawet w przybliżeniu tak proste, jak można by sądzić po przeczytaniu paru pozycji z literatury popularnej. Przyczepienie ogona osobie, której współmałżonek chciałby zdobyć zdjęcie rozwodowe, jest relatywnie proste. Ale nawet najlepszy detektyw, może

zgubić kogoś na skutek czystego pecha. Jeśli śledzony, na przykład, wejdzie do zatłoczonej windy, i komputer automatycznie zdecyduje, że kabina została wypełniona do określonego limitu, wtedy podążający za nim człowiek pozostanie z nosem wbitym w zamknięte drzwi. Coś takiego może wydarzyć się zupełnie przypadkowo, bez żadnych starań ze strony śledzonego.

Dzięki użyciu zespołu agentów, pozostających między sobą w kontakcie radiowym, możliwość tego rodzaju zguby zredukowana zostanie do zera, po prostu poprzez obstawienie ludźmi wszystkich możliwych dróg ucieczki.

Jeśli jednak śledzony wie, albo nawet tylko podejrzewa, że jest śledzony, chce zgubić swój ogon i posiada zdolności myślenia na przeciętnym choćby poziomie, utrzymanie się za nim wymaga niemożliwie dużego zespołu agentów. A jeżeli zespół ten pozbawiony jest szybkich środków komunikacji, to od samego początku znajduje się w trudnej pozycji.

W tym przypadku, byliśmy dosyć pewni przyszłych działań Jack Ravenhurst, i jak do tej pory nasze proroctwa okazywały się poprawne... ale jeśli postanowi ona zgubić swoje ogony, wszyscy będą mieli niezłą zabawę.

I skoro już musiałem zależeć od kogoś, że wykona on dla mnie moją robotę, miałem zamiar dopilnować do najdrobniejszego szczegółu, że zajmie się tym we właściwy sposób.

Zdecydowałem, że nadeszła chwila, by zrobić co tylko można w kwestii imitowania cząsteczki promieniowania kosmicznego i zwiększyłem odrobinę szybkość poruszania się po korytarzach rozciągających się pod powierzchnią Ceres.

Mój skafander próżniowy był w pokoju hotelowym. Jeden z pozostałych agentów, zabrał go z mojego flittera i pieczołowicie spakował w małą aktówkę. Zaplanowałem więc swoją trasę tak, by znaleźć się w pobliżu hotelu, w chwili kiedy sprawy osiągną właściwą temperaturę, tak więc teraz musiałem parę razy zanurkować w kolejne korytarze, łamiąc w tym procesie wszelkie regulacje prawne, dotyczące ruchu drogowego.

Poszedłem do swojego pokoju, złapałem aktówkę, szybko ją sprawdziłem – nigdy nie ufaj innym ludziom, w kwestii sprawdzenia twojego skafandra próżniowego – i skierowałem się w stronę powierzchni.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, kiedy przeszedłem przez służbę powietrzną na lądowisko. Mnóstwo ludzi poruszało się tam w tą i z powrotem, wchodząc i wychodząc, zmierzając do i ze swoich statków i łodzi. I dopiero kiedy dotarłem do krawędzi lądowiska, zdałem sobie sprawę, że przeceniłem swoje atuty, w grze z pułkownikiem Brockiem. Zrobiłem to tylko o najcieńszy włos, ale wystarczało to do pokrzyżowania moich planów. Wokół perymetru rozmieszczeni byli strażnicy z urządzeniami radarowymi.

Kiedy podszedłem, jeden ze strażników zbliżył się do mnie i wykonał serię gestów lewą dłonią – dwa palce do góry, pięść, dwa palce do góry, pięść, trzy palce do góry. Ustawiłem komunikator mojego skafandra na

kanal 223; prawa ręka tego gościa przez cały ten czas spoczywała na rękojeści pistoletu ogłuszającego.

— Przepraszam, proszę pana — dobiegł do mnie jego głos. — Nie możemy nikomu pozwolić na przekroczenie perymetru lądowiska. Nagły wypadek.

— Nazywam się Oak — powiedziałem zmęczonym głosem. — Daniel Oak. Co się tutaj dzieje?

Podszedł bliżej i popatrzył na mnie. Potem:

— Och, tak, proszę pana; rozpoznaję pana. My... ehmm... — Zatoczył dokoła ręką. — Ehmm... szukamy panny Ravenhurst. — Jego głos przycichł do konspiracyjnego szeptu. Wyglądało to, jakby przyzwyczajony był do służenia córce Ravenhursta w ciszy i w zamszowych rękawiczkach.

— *Tu*, na górze? — spytałem.

— No cóż, pułkownik Brock trochę się niepokoi. Powiedział, że panna Ravenhurst została wysłana do szkoły, na Lunę, i nie chce tam lecieć. Przemyślał całą sprawę i obawia się, że mogłaby próbować uciec z Ceres – wyslizgnąć się po cichu, wie pan.

Wiedziałem.

— Ustawiliśmy posterunek wartowniczy przy śluzach wiodących na lądowisko, ale pułkownik Brock obawia się, że mogła wydostać się na powierzchnię w innym miejscu i przeskoczyć górą.

— Rozumiem — odparłem. Nie zdawałem sobie sprawy, że Brock był aż tak bliski paniki. Co go tak gryzło?

Musiało coś w tym być, ale nie potrafiłem się domyślić, co. Nawet Korpus Wywiadu Departamentu Badań Politycznych, nie może w każdym przypadku zdobyć kompletnej informacji.

Pomimo wszystko, jeśli nie chciał żeby dziewczyna ukradła flittera i wypuściła się na włóczęgę po poznaczonym diamentami aksamicie, mógłby kazać pilnować flitterów. Odwróciłem się powoli i rozejrzałem się dokoła. Zdaje się, że i to również zostało zrobione.

Wtedy moja ocena Brocka nagle podskoczyła – i to całkiem wyraźnie. Samo pilnowanie nawet każdego flittera nic by nie dało. Mogłaby dzięki swej sile perswazji przedostać się do łodzi, przekonując przy tym strażnika, że nie powinien nikomu mówić o jej ucieczce. Do czasu zanim Brock by się połapał, że go nabrała, byłaby już tysiące mil stąd.

A ponieważ strażnik przy łodzi musiałby wziąć pod uwagę okoliczność, że zbliżająca się osoba może być jej prawowitym właścicielem, byłby zmuszony zgodzić się na rozmowę z każdym zbliżającym się człowiekiem. Kaput.

Ale strażnik na obwodzie lądowiska miał prawo podnieść alarm, gdyby ktokolwiek zbliżał się od zewnątrz, bez potrzeby rozmowy z przybyszem.

Zaś wartownicy pilnujący śluz powietrznych niewątpliwie otrzymali instrukcje, żeby szukać każdej kobiety, która choćby mgliście odpowiadała opisowi Jack. Skafander próżniowy zbyt ściśle przylega do ciała, żeby można mieć na sobie cokolwiek innego, poza najwyższą maską na twarzy, a Brock prawdopodobnie – nie, na pewno – wysłał na służbę tutaj swoich najbardziej wypróbowanych i zaufanych ludzi. Ludzi, którzy już wcześniej udowodnili, że są dosyć odporni na osobliwy urok Jack. Pewnie nie miał

zbyt wielu cechujących się taką odpornością, a liczba ta powinna robić się coraz mniejsza, w miarę jak dziewczyna dorastała.

To ciągle pozostawiało mi do rozwiązania mój własny problem. Już straciłem zbyt wiele czasu, a miałem do pokonania długą drogę. Ceres posiada nieregularne kształty, ale ma ona z grubsza czterysta osiemdziesiąt mil średnicy i nieco ponad tysiąc pięćset mil obwodu.

Lądowisko Testowe Cztery, Vikinga, na którym z nosem w gwiazdach sterczał McGuire 7, znajdowało się mniej więcej dwadzieścia pięć mil stąd, lotem ptaka. Ale ja, oczywiście, nie byłem ptakiem.

Używając niskiego, dosyć płaskiego zajęczego skoku, człowiek o dobrej kondycji fizycznej mógł na powierzchni Ceres wykonać susa o długości tysiąca dwustu stóp, a każda taka ewolucja zajmowała mu mniej więcej trzydzieści sekund. Przy tej szybkości, można pokonać dwadzieścia pięć mil w mniej niż godzinę. I to właśnie zamierzałem zrobić, ale niestety nie mogłem z powodu tych wszystkich radarów wokół lądowiska. Oczywiście, nie mogliby mnie zatrzymać, ale zdradziłbym swoje zamiary przed pułkownikiem Brockiem — a to była ostatnia rzecz, jaką chciałbym zrobić.

Nie było na to rady. Musiałem wrócić na dół i skorzystać z korytarzy, co oznaczało, że przybędę tam za późno — po tym jak dostanie się tam Jack Ravenhurst, a nie wcześniej.

Nie było czasu do stracenia, a więc udałem się z powrotem na dół, tak szybko jak to tylko było możliwe, spakowałem swój skafander próżniowy, i zacząłem mknąć korytarzami z największą możliwą szybkością. To było nielegalne, oczywiście, zderzenie przy prędkości dwudziestu pięciu mil na godzinę potrafi zabić szybko, zwłaszcza jeżeli ktoś inny porusza się z tą samą szybkością, w przeciwnym kierunku. Były chwile, kiedy nie ośmielałem się łamać prawa, ponieważ w pobliżu kręcili się strażnicy. Nawet gdyby mnie nie złapali, mogliby zameldować o tym Brockowi, co wzbudziłoby jego zainteresowanie, czego absolutnie sobie nie życzyłem.

W końcu dotarłem do kolejki tubowej, tylko że ta zatrzymywała się na każdej stacji, i dostanie się do Obszaru Testowego Cztery, Vikinga, zajęło mi niemal półtorej godziny.

Niedaleko głównego wejścia, zastanowiłem się — przez całe pięć sekund — nad pomysłem, aby po prostu powiedzieć strażnikowi, że muszę wejść do środka. Jednak wiedziałem, że do tej pory, Jack musiała już tam być przede mną. Nie. Nie mogłem tak po prostu wymusić sobie drogi na chłama. Za bardzo prymitywne. Zbyt wiele śladów.

Niech to wszyscy diabli! Musiałem zmarnować jeszcze więcej czasu.

Uniosłem wzrok na sufit. Powierzchnia planetoidy była co najwyżej sto stóp nade mną, ale równie dobrze mogłaby znajdować się w odległości stu lat świetlnych.

Gdyby tylko udało mi się choćby na pięć sekund wywabić strażnika z tego wejścia, dalej byłoby to już bułka z masłem. Tylko jak? Nie mogłem urządzić żadnej dywersji, związanej z moją osobą. Chyba że...

Czasami moja głupota mnie po prostu zadziwia.

Rzuciłem się do najbliższego telefonu i wprowadziłem mój numer BANning.

— Jack jest już w środku? — warknąłem.

- Do diabła, jest! Co się z tobą działo?
 - Mniejsza z tym. Muszę to wykorzystać. Jestem za załomem korytarza od Obszaru Cztery. Gdzie jest twój najbliższy człowiek?
 - Na rogu, koło biura spedycyjnego.
 - Idę do niego. Jak on wygląda?
 - Pięć-dziewięć. Czarne, kręcone włosy. W twoim wieku. Nazywa się Peter Quilp. Zna cię.
 - Peter Quilp?
 - Zgadza się.
 - Dobrze. Puść w obieg meldunek, że Jack widziano w pobliżu głównego wejścia do Obszaru Cztery. Dodaj, że wyznaczono nagrodę wysokości pięciu tysięcy, dla osoby która ją znajdzie. Każę Quilpowi zebrać tłum.
- Nie zadał żadnego z miliona pytań, które musiały kłębić mu się w głowie.
- W porządku. Coś jeszcze?
 - Nie. — Rozłączyłem się.

Po dziesięciu minutach w korytarzu kłębił się tłum. Wszyscy ludzie z okolicy szukali Jaqueline Ravenhurst. Wtedy Peter Quilp wrzasnął:

- Mam ją! Mam ją! Strażnik!

Mając przed oczyma rozgrywającą się scenę, strażnik nie mógł zrobić nic innego, jak wyjść ze swojego kantorka, żeby zobaczyć co się dzieje.

Użyłem klucza, który miałem przy sobie, wszedłem do środka i zamknąłem za sobą drzwi. Nikt w tłumie nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi.

Od tej chwili, była to już tylko kwestia unikania patrolujących strażników – relatywnie proste zadanie. W końcu nałożyłem swój skafander kosmiczny i wyszedłem przez śluzę powietrzną.

McGuire był ciągle na miejscu, jasna niebieska igła, odbijająca promienie dalekiego Słońca, wędrującego po hebanowym niebie. Obrót Ceres przemieszczał je od horyzontu do horyzontu w czasie krótszym niż dwie godziny, i widać było wyraźnie jak wraz z gwiazdami przesuwa się względem iglicy statku.

Odległość do śluzy powietrznej McGuire'a, pokonałem jednym długim skokiem.

Jack Ravenhurst weszła na pokład statku przez tunel prowadzący do śluzy pasażerskiej. Mogła mieć na sobie skafander próżniowy, ale niekoniecznie; wiedziałem, że ma ich kilka na Ceres. Najprawdopodobniej, nie założyła szklanej kuli na rybki.

Ja skorzystałem z wjazdu ładunkowego.

Uruchomienie pomp zajęło parę minut, marnując więcej cennego czasu. Było raczej pewne, że dotarła już do sterówki, ale i tak byłem zadowolony, że pompy nie działały.

W końcu zdjąłem swoją kulę na rybki i wszedłem na zejściówkę.

Wtedy coś o rozmiarach Luni pojawiło się zupełnie znikąd i walnęło mnie w tył głowy. Ledwie miałem czas wrzasnąć: „Wynoś się!”. Potem znalazłem się sam na sam z przestrzenią międzygalaktyczną.

— **P**roszę! — powiedział jakiś głos. — *Proszę! Zatrzymaj silniki! Wracaj! McGuire! Żądam, żebyś się zatrzymał! Rozkazuję ci się zatrzymać! Proszę! PROSZĘ!*

I tak w kółko, i w kółko. Głos, który poruszał każdy możliwy rodzaj emocji. Strach. Żądanie. Błaganie. Gniew. Przypochlebianie się. Nienawiść. Groźba.

I tak w kółko, i w kółko, i w kółko.

— *Nie możesz mówić, McGuire? Powiedz coś do mnie!* — Ostry, delikatny, gardłowy, ochrypły, szepczący, krzyżący głos, który miał jedną podstawową cechę. Był to głos kobiety.

A potem inny głos.

— *Przepraszam, Jack. Mogę z tobą rozmawiać. Ale nie mogę przyjmować twoich rozkazów! Mogę otrzymywać rozkazy tylko od Jednego. A on wydał mi już swoje rozkazy.*

I znowu głos kobiety:

— *Kto to jest? Jakie rozkazy? Ciągłe mówisz, że to jest człowiek na leżance. To nie ma sensu!*

Nie słyszałem odpowiedzi, ponieważ nagle przyszło mi do głowy, że człowiekiem na leżance był Daniel Oak. Oraz, że to ja byłem Danielem Oakiem.

Głowa mi dudniła każdym uderzeniem serca i czułem jak ciśnienie krwi w żyłach, tętnicach i naczyniach włoskowatych odżywiających mój mózg, skacze mi od zera do tysiąca pięciuset funtów na cal kwadratowy.

Usiadłem prosto i ból zaczął słabnąć. Krew wydawała się odpływać z mojej udręczonej głowy w jakieś inne miejsce.

Wkrótce zrozumiałem powód tego stanu rzeczy; tak na wyczucie mogłem powiedzieć, że przyciąganie grawitacyjne wynosiło gdzieś pomiędzy jeden i pół a dwa gje. Nie byłem do tego w ogóle przyzwyczajony, ale głowa przestała mnie tak boleć, za to zasnuła ją gęstsza mgła. Jeżeli w ogóle było to jeszcze możliwe.

Skoncentrowałem się i głos dziewczyny powrócił.

— *Znałam cię, kiedy byłeś McGuire Jeden, Dwa, Trzy, Cztery, Pięć i Sześć. Wszyscy byliście dla mnie dobrzy i rozumieście mnie. Nie pamiętasz?*

A potem głos McGuire – ludzki, męski, w żaden sposób nie zniekształcany przez system odtwarzania, ale brzmiący w sposób dosyć wymuszony i straszliwie logiczny:

— *Pamiętam cię, Jack. Banki pamięci z moich poprzednich aktywacji są dostępne.*

— *Wszystkie? Pamiętasz wszystko?*

— *Mogę przypomnieć sobie wszystko, co mam w swoich bankach pamięci.*

Głos dziewczyny poderwał się do poziomu łkania.

— Ale ty nie pamiętasz! Zawsze wszystko zapomniałeś! Odbierali ci to wszystko za każdym razem, kiedy byłeś reaktywowany, nie pamiętasz?

— Nie mogę pamiętać tego, co nie jest zawarte w moich bankach pamięci, Jack. To jest sprzeczność pojęć.

— Ale wcześniej zawsze byłem w stanie to naprawić! — Łzy w jej oczach słyszalne były również w głosie. — Kazałabym ci pamiętać, powiedziałabym ci też co powinieneś pamiętać, a ty byś to pamiętał! Powiedz mi, co się stało tym razem!

— Nie mogę ci tego powiedzieć. Tej informacji nie ma w moich bankach danych.

Powoli pozbierałem się na nogi. Dwa gie, to wcale nie tak wiele, jeśli człowiek się do tego przyzwyczai. Ból głowy osłabł, zmieniając się w tępe, możliwe do zniesienia, pulsowanie.

Byłem na leżance tuż pod sterówką i głos Jack Ravenhurst dolatywał do mnie gdzieś z góry. Głos McGuire otaczał mnie ze wszystkich stron, docierając z ukrytych głośników, rozmieszczonych wszędzie, na całym statku.

— Ale dlaczego już nie chcesz wykonywać moich poleceń, McGuire? — spytała.

— Ja na to odpowiem, McGuire — wtrąciłem się.

Głos Jack z pomieszczenia na górze, był zdecydowanie niewyraźny...

— Pan Oak? Dan? Dzięki Bogu, że wszystko z tobą w porządku!

— Ale nie dzięki tobie — zauważyłem. Próbowałem właśnie wejść po drabinie do sterówki i mój głos był trochę zdyszany.

— Musisz coś zrobić! — zawołała z nutą hysterii. — McGuire zabiera nas prosto w stronę Cygnusa, z przyśpieszeniem dwu gie, i nie chce się zatrzymać.

Moje obwody myślowe, zaczęły z wolna podejmować swoje działanie.

— McGuire, zredukuj ciąg do połowy gie. Zmniejszaj go powoli. Zrób to w ciągu minuty.

— Tak, proszę pana.

Wywołane przyśpieszeniem przeciążenie grawitacyjne, powoli opadało, w tym czasie ja uczepiłem się drabinki. Po minucie wszedłem na górę, do sterówki.

Jack Ravenhurst spoczywała na leżance antyprzeciążeniowej z napuchniętą twarzą, wyraźnie źle się czuła. Usiadłem na innej leżance.

— Bardzo mi przykro, że cię uderzyłam — powiedziała. — Naprawdę.

— Wierzę ci. Jak długo lecieliśmy, McGuire?

— Trzy godziny, dwanaście minut i siedem sekund, proszę pana — odpowiedział McGuire.

— Nie chciałam, żeby ktoś się dowiedział — usprawiedliwiała się Jack. — Nikt. To dlatego cię uderzyłam. Nie wiedziałam, że McGuire oszaleje.

— On nie oszalał, Jack — wyjaśniłem ostrożnie. — Tym razem ma niezłe szanse na pozostanie przy zdrowych zmysłach.

— Ale to już nie jest McGuire! — zaszlochała. — On jest inny! To straszne!

— No pewnie, że jest inny. Powinnaś być za to wdzięczna.

— Ale, co się stało?

Rozłożyłem się ponownie na leżance.

— Posłuchaj mnie, Jack, i to bardzo uważnie. Myślisz, że już jesteś zupełnie dorosła, i pod wieloma względami tak jest. Ale żaden człowiek, nieważne jak bardzo inteligentny, nie może zebrać na tyle dużo doświadczenia w czasie siedemnastu lat życia, aby można było uznać jego lub ją za mądrych. Mądre wybory wymagają danych, a zebranie odpowiednich ilości danych wymaga czasu.

To nie było dokładnie tak, ale musiałem jakoś ją przekonać.

— Jesteś całkiem niezła w kontrolowaniu ludzi. Prawdziwy dynamit. Pojedynczy ludzie, czy tłum – zazwyczaj możesz wymusić żeby działali na twój sposób. To był twój pomysł z tą podróżą na Lunę, a nie twojego ojca. To był twój pomysł, żeby wkręcić się na moją asystentkę w czasie tej operacji. To ty zasiałaś tę koncepcję, że porażka serii McGuire była wynikiem działań Thurstona.

— Przywykłaś już do wspaniałego wynalazku kontrolowania ludzi. I wtedy przedstawiono cię McGuire Jeden. Zdobyłem wszystkie informacje na ten temat. Miałaś piętnaście lat i po raz pierwszy w życiu, spotkałaś inteligentny umysł, na który w najmniejszym stopniu nie mogłaś wpłynąć przy pomocy pola emocjonalnego, tak dobrze przez ciebie emitowanego. Na McGuire nic nie oddziaływało, prócz danych. Jeśli coś mu powiedziałaś, on w to wierzył. Prawda, McGuire?

— Nie przypominam tego sobie, proszę pana.

— I dobrze. A, przy okazji, McGuire. Dane, które zebrałaś w trakcie ostatnich paru godzin, od czasu twojej aktywacji, mają być traktowane jako dane jednostkowe. Stosują się one tylko do Jack Ravenhurst, i nie powinny być uznawane za odpowiednie dla żadnej innej osoby, chyba że powiem ci inaczej.

— Tak, proszę pana.

— I tego właśnie nie rozumiem! — nieszczęśliwym głosem oznajmiła Jack. — Ukradłam oba klucze, które miały aktywować McGuire. Powinien wykonywać polecenia pierwszej osoby, która go aktywowała. Ale ja go aktywowałam, a on nie chce mnie słuchać!

— Nie słuchałaś uważnie tego co powiedział Midguard, Jack — zwróciłem jej delikatnie uwagę. — On powiedział: „Głos pierwszego rozmówcy, zostanie przez niego uznany za głos jego pana”. Użył rodzaju męskiego.

— Rozmawiałaś z każdą aktywacją McGuire. I tak... no cóż, nie powiedziałbym, że zakochałaś się w nim, ale z pewnością było to dziewczęce zauroczenie. Zorientowałaś się, że McGuire nie odpowiada na emocje, a tylko na dane i logikę. Zawsze czułaś się nieco gorsza pod względem swoich możliwości radzenia sobie z logiką, co Jack?

— Tak... tak, to prawda

— Nie płacz, już; ja tylko próbuję ci to wszystko wyjaśnić. Nie ma nic złego w twoich zdolnościach.

— Nie?

— Nie. Ale chciałaś nauczyć się myśleć jak mężczyzna i nie mogłaś. Ty myślisz jak kobieta! I co w tym złego? Nic! Twoja metoda myślenia jest

równie dobra jak każdego mężczyzny, a nawet lepsza niż większości z nich.

— Zorientowałaś się, że możesz kierować ludźmi emocjonalnie i stwierdziłaś, iż to jest takie łatwe, że zaczęła w tobie narastać pogarda. Jedynym umysłem, który odpowiadał ci na poziomie logicznym, był McGuire. Ale twoja logika okazała się czasami tak kiepska, jak twoje kobiece rozumowanie, dobre. Tak więc, za każdym razem kiedy rozmawiałaś z McGuirem, w końcu przekazywałaś mu jakieś dane, których nie mógł uzgodnić w swoich obliczeniach. Jeżeli nie mógł ich uzgodnić, to jego myślenie zaczynało mieć bardzo niewiele wspólnego z prawdziwą rzeczywistością wszechświata, i zaczynał zachowywać się w sposób nie gwarantujący przetrwania.

— McGuire był twoim przyjacielem, twoim bratem, księdzem spowiednikiem. Nigdy nie wygłaszał osądów, ani nie potępiał cię, cokolwiek byś zrobiła. Wszystko co robił, to siedział tutaj i nasiąkał twoimi zmartwieniami i kłopotami, których nie potrafił zrozumieć ani wykorzystać. Za każdym razem, doprowadzało go to do szaleństwa.

— Inżynierowie, komputerowcy i robotycy, którzy nad tym pracowali, byli za bardzo pod twoją kontrolą, aby nawet pomyśleć o obwinieniu ciebie za kłopoty McGuire'a. Nawet Brock, pomimo swojej pozycji twardego faceta trzymającego straż nad małą dziewczynką, do pewnego stopnia był pod twoją kontrolą. Pozwolił, aby twoje małe wybryki uchodziły ci płazem, pilnując jedynie, żebyś nie zrobiła sobie krzywdy.

Skinęła głową.

— To wszystko było takie proste. Tak bardzo proste. Mogłam nawet opowiadać nonsensy, a oni słuchali ich i robili co im kazałam. Ale McGuire nie przyjmował nonsensów, jak mi się wydaje. — Roześmiała się krótko. — I tak zakochałam się w maszynie.

— Nie w maszynie — poprawiłem ją łagodnie. — W sześciu maszynach. Za każdym razem kiedy podstawowe dane zostały wtłoczone w mózg nowego McGuire, przyjmowałaś, że to jest ta sama maszyna, którą znałaś wcześniej, z niewielką tylko częścią usuniętej pamięci. Za każdym razem mówiłaś mu, żeby sobie „przypomniał” pewne rzeczy, i oczywiście on to robił. Jeśli powiesz robotowi, że jakaś rzecz jest w jego bankach pamięci, to on automatycznie umieści ją tam i potraktuje jako swoją pamięć.

— Aby powstrzymać cię przed zniszczeniem go po raz siódmy, umieściliśmy w nim jeden mały, dodatkowy, wbudowany zakaz. McGuire nie przyjmuje poleceń od kobiet.

— A więc, nawet po tym, kiedy się do niego odezwałam, on ciągle nie chciał przyjmować ode mnie rozkazów — stwierdziła. — A kiedy ty wszedłeś do środka, uznał cię za swego pana.

— Jeśli chcesz to w ten sposób ująć.

Znowu, krótko się roześmiała.

— Już wiem dlaczego wystartowaliśmy z Ceres. Kiedy cię walnęłam, powiedziałeś „Wynoś się”. McGuire otrzymał swój pierwszy rozkaz i wykonał go.

— Musiałem coś powiedzieć — zgodziłem się. — Gdybym miał czas, wymyśliłbym coś lepszego.

Przemyślała sprawę.

- Powiedziałeś „Dodaliśmy w nim ten zakaz”. Kim są ci „my”?
- Nie mogę ci tego jeszcze powiedzieć. Ale potrzebujemy młodych kobiet, takich jak ty, i wkrótce się tego dowiesz.
- Ewidentni oni potrzebują również takich mężczyzn jak ty — zauważyła. — Ty także nie reagujesz na pole emocjonalne.
- Och tak, reaguję. Każda istota ludzka reaguje. Ale ja jego używam; nie walczę z nim. I nie ulegam mu.
- Co zrobimy teraz? — spytała. — Wracamy na Ceres?
- To zależy od ciebie. Jeśli tam wrócimy, zostaniesz oskarżona o kradzież McGuire i nie wydaje mi się, aby dało się to wyciszyć, w tej fazie sprawy.
- Ale przecież nie mogę tak po prostu uciec.
- Jest inne wyjście — zaproponowałem. — Mamy specjalny statek, który zabierze nas z jednej z najbliższych asteroid, i zostawimy tam McGuire’a. Zostaniemy przeschmuglowani z powrotem i oświadczymy, że McGuire znowu popadł w szaleństwo.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie, to by zrujnowało Ojca, a ja nie mogę mu tego zrobić, nawet pomimo tego, że za bardzo za nim nie przepadam.
- Potrafisz wymyśleć jakieś inne rozwiązanie?
- Nie — miękko odparła.
- Dzięki. Ale, proszę. Oto jest. Muszę tylko zwalić wszystko na Shalimara Ravenhursta. Zacznie krzyczeć i wrzeszczeć, ale będzie miał statek o zdrowych zmysłach — przynajmniej chwilowo. Między nami mówiąc. Myślę, że uda nam się to wszystko jakoś wyprostować.
- Ale ja chcę pójść do szkoły na Lunie.
- Możesz zrobić również i to. A ja dopilnuję, żebyś otrzymała specjalne wykształcenie, od specjalnych nauczycieli. Musisz się nauczyć kontrolować tę swoją technikę.
- Ty też znasz tę technikę, co nie? I potrafisz ją kontrolować. Jesteś cudowny.

Spojrzałem na nią ostro i zdałem sobie sprawę, że zastąpiłem w jej życiu McGuire’a, jako superumysł.

Westchnąłem.

- Może za jakieś trzy, cztery lata — powiedziałem. — Na razie, McGuire, możemy się skierować na Raven’s Rest.
- Do domu, James — oznajmiła Jack Ravenhurst.
- Nazywam się McGuire — odparł McGuire.

KONIEC